ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 14 4. IV. 1936.

KATASTROFALNE POWODZIE W STANACH ZJEDNOCZONYCH



PRASA Z CAŁEGO ŚWIATA

Położenie ekonomiczne Niemiec przyczyną okupacji Nadrenji

NEW STATESMAN AND NATION, Londyn:

Obecna sytuacja gospodarcza Niemiec dokładnie wyjaśnia, dlaczego Hitler pośpieszył się tak bardzo z zajęciem Nadrenji. Niezaradność i nerwowe zaniepokojenie wszystkich państw postawionych przed „faktem dokonanym" zamachu Rzeszy Niemieckiej są godne uśmiechu politowania. I rzeczywiście wszystko wskazuje, że Niemcy są obecnie w stanie łatwym do pokonania i że było zupełnie możliwe powstrzymać zapędy Führera przez powzięcie i wykonanie pewnych wysiłków gospodarczych, któreby były o wiele mniej kosztowne dla Europy, niż obecna polityka zbrojeń.

Zastrzyk entuzjazmu patrjotycznego

Przywódcy narodowych socjalistów zdają sobie dokładnie sprawę z rozpaczliwego położenia gospodarczego Rzeszy. Naród niemiecki cierpi i nie widzi żadnego wyjścia z obecnych trudności. Czyż nie mówi się, że oddziały, które wkroczyły do Nadrenji, miały za zadanie nastraszyć opozycję katolików i proletarjatu? Liczba bezrobotnych powiększyła się ostatnio, co potwierdzają nawet oficjalne statystyki. Zagadnienie wyżywienia staje się coraz poważniejsze. Cóż więc dziwnego, że w tych warunkach dr. Schacht, dyktator gospodarczy Rzeszy, nie jest w zgodzie z lewem skrzydłem partji narodowych socjalistów, które ma obecnie największy wpływ na Hitlera?

Ale przywódcy nazistyczni są mistrzami w wywoływaniu powszechnego entuzjazmu. Sukcesy zewnętrzne są niezbędne dla podniesienia nastroju ludności. Jeżeli Niemcy mają dość armat dla zniszczenia całego świata, to cóż ich obchodzi masło i jajka? Takie nastawienie zmusza do stałych sukcesów zagranicznych.

Berlin osiągnął już pokaźną ich liczbę w roku 1935: plebiscyt w Saarze, wprowadzenie powszechnej służby wojskowej, porozumienie morskie anglo-niemieckie. Obecna remilitaryzacja Nadrenji ma zapewnić Hitlerowi ogromną ilość głosów, które miały tendencję do obrócenia się przeciw niemu.

Ucieczka złota

...Reichsbank posiadał dnia 29 lutego 1936 r. rezerwę złota w wysokości już tylko 71.675.000 Rm. Coprawda istnieje jeszcze ukryty fundusz 200 miljonów Rm., który jest zarezerwowany na potrzeby armji. Składa się on z 75 miljonów Rm. zabranych bankom krajowym w chwili, gdy cofnięto im prawo emisji banknotów, i ze 125 miljonów, otrzymanych z tytułu należności od ZSRR. Tem niemniej te zasoby nic nie znaczą dla tak wielkiego państwa.

Niemcy nie znajdują dalszych rynków zbytu dla wyrobów swego przemysłu. Około 80% eksportu niemieckiego jest wymienione na towary importowane. A ponieważ 10% zysku jest pochłonięte przez koszty transportu, wymiany i wydatki konsularne... pozostaje jedynie 10%, które wpływa do kraju jako złoto lub dewizy. A Niemcy nie posiadają prawie żadnych wpływów utajonych, ponieważ ich przemysł nie inwestuje prawie nic zagranicą.

Brak kredytu

To jest klucz sytuacji. System gospodarczy Niemiec pracuje obecnie ze stratą. Przed wojną inwestycje niemieckie zagranicą wyrażały się sumą 25 miljardów marek. W 1918 r. spadły do zera. W 1924 Rzesza zaczęła zaciągać pożyczki zagraniczne. W 1933 jej zadłużenie wynosiło 28 miljardów Rm., z czego znaczną większość stanowił dług amerykański.

Część tej ogromnej sumy została spłacona, część zdewaluowano lub zanulowano, ale pozostaje jeszcze 7 miljardów marek długów. Od chwili objęcia władzy przez Hitlera nie nastąpiło zwiększenie pożyczek. Ale dr. Schacht umiał ominąć te trudności przez wynalezienie clearingu w wysokości 30 do 40% wymiany. W ten sposób Niemcom udało się w końcu roku 1934 otrzymać kredyty towarowe, lecz w rytmie wolniejszym i wysokości mniejszej, niż uprzednio. W chwili obecnej suma ogólna kredytów wyraża się zaledwie 600 miljonami Rm., gdyż wiele państw, — a głównie Francja i Czechosłowacja zaprotestowały przeciw tej zamaskowanej polityce kredytowej.

W ten sposób to źródło wpływów jest dokładnie uregulowane. Jest ono zresztą zbyt nikłe dla gospodarki społecznej tak wielkiego państwa, jak Niemcy.

Dokąd pójdą Niemcy?

LE PETIT MERIDIONAL, Montpellier:

Najważniejszem w całej wadze zamachu niemieckiego jest to, że staje się on krokiem brzemiennym w następstwa. Jest on częścią programu, który hitleryzm odziedziczył i który wykonywa. Jest skutkiem, który przygotowywa nowe skutki.

Stresemann powiedział:

„Powinniśmy dążyć do naszego celu stopniowo, posunięciami stałemi, przemyślanemi i skoordynowanemi".

On sam, zresztą, wskazał metody, które powinny kierować jego następcami: *„Rozszerzać stopniowo krąg naszej inicjatywy i wpływów; iść od jednej próby siły do drugiej; ale nie przestawać uspakajać sąsiadów, mówiąc im o zbliżeniu, aby wszystkie objawy i próby naszej siły zdawały się być przeznaczone do zapewnienia bezpieczeństwa Europy".*

Hitler nie jest złym uczniem. Zastosował on zasady wielkiego „odnowiciela" cesarstwa niemieckiego. Ten radził swym rodakom wyzwolić się naprzód z „okowów" Traktatu Wersalskiego przed przejściem do polityki aktywnej, to znaczy przed staraniem się o powiększenie terytorjum Rzeszy.

Dziś właśnie ostatnie „okowy" opadły.

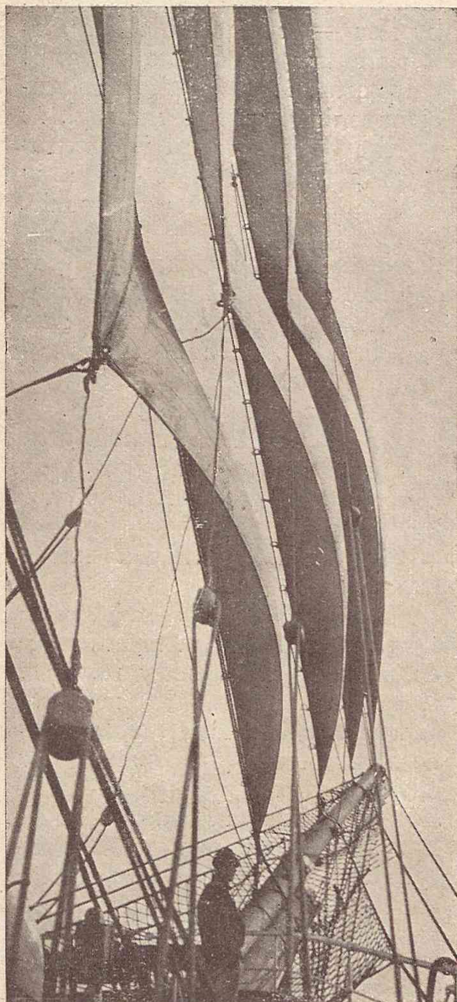
Po ewakuacji Nadrenji nadeszło zajęcie Saary i likwidacja „reparacyj", później wznowienie powszechnej obowiązkowej służby wojskowej; nakoniec — dziś — wprowadzenie zupełnej i całkowitej suwerenności Rzeszy nad całością jej ziem.

Pierwsza część programu jest wykonana. Można przejść do dalszych. Można myśleć o utworzeniu Wielkich Niemiec przez aneksję Austrji, czy też przez zajęcie Ukrainy.

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

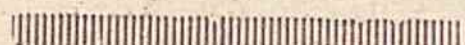
ROK XXXI. Nr. 14 4. IV. 1936



JUŻ PRACUJĄ ŻAGLE! SŁOŃCE I WIOSNA WYPROWADZIŁY JUŻ ŻEGLARZY NA FALE. ŻAGLOWCE, JACHTY, ŁODZIE WESOŁO ODBIJAJĄ OD STAŁEGO LĄDU.



W PARYŻU PRZED ŚWIĘTAMI ODBYŁ SIĘ TRADYCYJNY: „TYDZIEŃ DOBROCI". NA ILUSTRACJI NASZEJ WIDZIMY DWIE ARTYSTKI TEATRÓW PARYSKICH ROZDZIELAJĄCE ŻYWNOŚĆ BEZROBOTNYM W DZIELNICY MONTMARTRE.

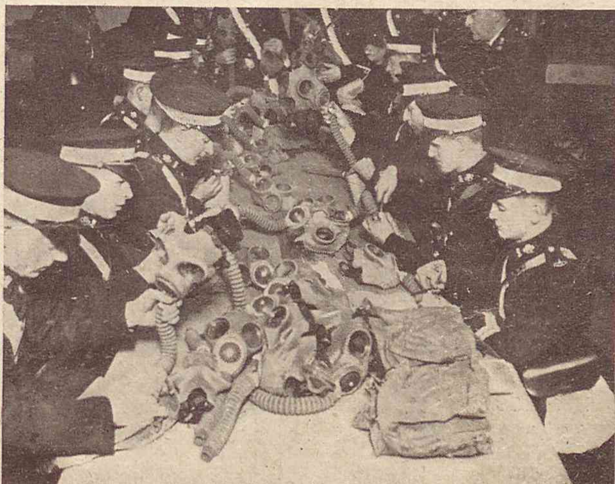






KONFERENCJA W LONDYNIE ZROBIŁA... UROCZYSTE FIASCO.

OFICEROWIE MARYNARKI ANGIELSKIEJ SĄ BARDZIEJ REALNI, PRZEPROWADZAJĄC BADANIE MASEK GAZOWYCH.



L. CHRZANOWSKI.

„NEIN"

Konferowali w Londynie dwa tygodnie!

Anglja zgadzała się z Francją, Francja zgadzała się z Anglją. Wszyscy byli zgodni, chór moralnego potępienia szykował się do odśpiewania egzorcycji.

Ale... ale nie chciano niesprawiedliwości. Pokuty nie wyznaczano. Chciano dać możność spowiedzi i skruchy grzesznikowi.

A grzesznik powiedział dobitnie „Nie, nie przyjadę! rozmawiać będę jak równy z równym, o żadnej spowiedzi, skrusze, pokucie nie może być mowy, choć to wielki post!"

Wówczas się poróżnili.

Marjanna była uparta, John Bull celebrował i pławił się w humanitarnej sprawiedliwości, ligowcy tuti quanti wili się w proceduralnych arkanach i kombinacjach, tylko jeden ambasador Grandi miał ironiczny, filuterny uśmiech.

Chór się popsuł. Kwartet nie dopisał. Litwinow grzmiał. Statyści prężyli muskuły. Jedność ustąpiła znakomitemu poróżnieniu.

Grzesznika poproszono—raczył się zgodzić. Przyjechał. Przyjechawszy głosował przeciw — nie zgodził się z rezolucją. Wyjechał po instrukcje. Zawiózł nie wyrok — ale propozycje. Wrócił i znów powiedział: „nie".

Twarde, niemieckie *nie!* brzmiało w odpowiedzi Hitlera przywiezionej przez Ribbentropa do Londynu.

Utopiści zostali zaspokojeni — jeszcze raz rozległo się niemieckie NIE!

To samo *nie* rozległo się, gdy Francja proponowała, aby niemieckie wątpliwości na temat paktu sowiecko - francuskiego przekazać arbitrażowemu trybunałowi w Hadze.

To samo *nie* znamy z innej epoki. Przed wybuchem wojny światowej, kiedy pokojowe zabiegi były w pełni, *dnia 29 czerwca 1914 r. cesarz Mikołaj II telegrafował do Wilhelma II-go: „Byłoby może wskazane przekazać zagadnienie austrjacko-serbskie trybunałowi w Hadze. Ufam twej rozwadze".*

Zaufanie było źle umieszczone. Wilhelm II nie odpowiedział. Nie chodzi nam o dobrą wolę, czy bardziej pokojowe zamiary tego lub owego z dwuch cesarzy. Obaj gnębiciele narodu polskiego i wolności obywatelskich tak się mieli do pokojowych haseł, jak im nakazywał interes aktualny, a nie przesłanki pokojowe i zasady prawa międzynarodowego. Ale mimo to — analogja jest niewątpliwa.

Niemcy Wilhelma II-go na propozycję odesłania zatargu z roku 1914-go do Hagi do arbitrażu, odpowiedziały *NIE!* Niemcy kanclerza Hitlera przed zerwaniem traktatów Wersalskiego i Lokarneńskiego, na propozycje arbitrażu w Hadze odpowiedziały Francji *NIE!*

Niemcy po zerwaniu traktatów odpowiedziały państwom sygnatarjuszom Locarna *NIE!*

To niemieckie NIE, to lejtmotyw całej akcji dyplomatycznej Niemiec od chwili, gdy weszły do Ligi Narodów. Wszystko, co nie było zgodne z ich wolą, żądaniem, programem — wszystko to zderzało się z nieubłaganym *nie* niemieckiem. I zawsze to *nie* prowadziło dyplomację europejską do ustępstw!

Kiedy Włochy w rytmie swej ekspansji kolonjalnej, w niczym nie gorszym od rytmu ekspansji angielskiej, sięgnęły po tereny abisyńskie — flota angielska demonstrowała, koncentrowała się i przebywa na wodach śródziemnomorskich. Gdzież jest obecnie flota angielska? Dlaczego zwleka? Kiedyż się odbędzie

demonstracja floty angielskiej na morzu północnem?

Przecież traktaty podarto, arbitraż odrzucono. Nadrenję, gwarancję strategiczną pokoju, zajęto zbrojnie, *aby ją fortyfikować!*

Na propozycję dalszych pertraktacji Niemcy znów odpowiedziały *NIE*, oczekując wyniku wyborów!

Czyż mógł być wątpliwy wynik wyborów niemieckich? Przed niemi, jak i po nich kanclerz Hitler będzie równie silny, równie decydujący. Ta część odpowiedzi niemieckiej, to najboleśniejszy punkt dla godności lokarnistów. Strawili jednak i to.

Na Bałtyku i na Morzu Północnym nie będzie demonstracji floty angielskiej — bo Ren nie ma ujścia do morza Śródziemnego, bo Ren — to nie źródła Nilu, bo Ren nie leży na drodze do Indji!

W ostatnich swych deklaracjach min. Eden oświadczył, że Wielka Brytanja jest w tym samym stopniu zainteresowana w utrzymaniu pokoju na wschodzie, co i na zachodzie i że ligowe zobowiązania W. Brytanji będą w jednakowym stopniu dotrzymane, niezależnie od tego, czy chodzić będzie o wschodnią, czy zachodnią Europę!

Bardzo cenne oświadczenie.

Bardzo doniosłe. *Chodzi tylko o to, czy zobowiązania te byłyby stosowane automatycznie,* czy też po interpretacjach i dyskusjach podobnych do obecnych narad londyńskich.

Bo jeśli na odleglejszej granicy wschodu Anglja będzie dotrzymywać obietnic w równym tempie, jak na zachodnim — to te wzniosłe, te szlachetne, te piękne słowa, tak będą brzmiały w naszych uszach, jak pełne ufności i wiary słowa Brianda i Paul-Boncoura wygłoszone podczas ratyfikacji traktatu Lokarneńskiego. Przypomnijmy te słowa. Oto jak apoteozował Locarno Paul-Boncour w 1926 r.: „Pertraktanci z Locarna przewidzieli w artykule 4-ym traktatu między Niemcami, Belgją, Francją, gwarantowanego przez Anglję i Włochy, że jakiekolwiek pogwałcenie lewego, zdemilitaryzowanego brzegu Renu wywoła ipso facto akcję gwarancji obiecanej przez traktat Lokarneński", a dalej, opisując tę akcję, Paul Boncour mówił: „Puszczając natychmiast w ruch sankcje artykuł 4-y daje tę gwarancję demilitaryzacji lewego brzegu Renu, o jaką napróżno przez wiele lat uczestnicy traktatu Wersalskiego zabiegali w Anglji i Ameryce".

Do tych wywodów Boncour'a Briand między innemi dodał: „A co się tyczy naszej granicy, jakże to ona jest teraz zabezpieczona? Przez gwarancję międzynarodową. Ren staje się obecnie granicą międzynarodową. Oto cała prawda".

Tak była przedstawiona prawda z 1926 r. Prawda oparta nie na oświadczeniu ministra, ale na formalnym, dobrowolnym traktacie. Dziś ta prawda wygląda inaczej. Dziś w zdemilitaryzowanej strefie są już fortyfikacje, schrony, żołnierze niemieccy — a Londyn namyśla się, waha i rozważa swe obowiązki.

DR. ALEKSANDER SZCZEPAŃSKI.

AUTONOMJA ŚLĄSKA

Skoro w związku z organizowanym przez Polski Związek Zachodni Tygodniem Propagandy Śląska pisze się dużo na temat spraw śląskich i stosunków, łączących Śląsk z Polską, poświęcić kilka uwag trzeba t. zw. autonomji śląskiej, która powoduje pewną odrębność prawną województwa śląskiego od innych ziem polskich i niejednokrotnie jest przedmiotem mylnych zapatrywań, interpretacyj, a nawet walk politycznych. Autonomja Śląska została uchwalona przez Sejm warszawski w r. 1920, w okresie kiedy Śląsk nie należał jeszcze do Polski. Ustawa autonomiczna stała się dla strony polskiej argumentem plebiscytowym, tembardziej koniecznym, że strona niemiecka już poprzednio zapowiadała daleko idący samorząd dla tych części Śląska, które pozostaną w wyniku plebiscytu przy Rzeszy Niemieckiej. Zapowiedź niemiecka nie została wogóle zrealizowana, a te szczątkowe urządzenia samorządowe, wprowadzone na terenie Śląska Opolskiego po plebiscycie, zniknęły bardzo szybko, tak, że dziś Śląsk niemiecki nietylko że nie posiada autonomji, ale nawet samorządu lokalnego, który zresztą, jak wszystko wogóle w Trzeciej Rzeszy Niemieckiej, zastąpiony został omnipotencją państwa lub partji narodowo-socjalistycznej.

Polska ustawa autonomiczna, wprowadzona w życie natychmiast po przyłączeniu Śl. do Polski, rozciąga się na obszar całego województwa śląskiego, a więc także cieszyńskiej części województwa, która, jak wiadomo, bez plebiscytu przyłączona została do Polski.

Ustawa ta ustanawia samodzielny Sejm Śląski, jako władzę ustawodawczą, oraz Radę Wojewódzką, jako organ wykonawczy, a do zakresu autonomji należą wszystkie niemal dziedziny ustawodawstwa ogólnego, za wyjątkiem polityki zagranicznej i wojska i poważniejszych spraw gospodarczych. Autonomją objęte są sprawy samorządu terytorjalnego, sprawy szkolnictwa, ustawodawstwo robotnicze itp., przyczem szczególnie podkreślić należy samodzielny skarb śląski, jako podstawę gospodarczą organizmu autonomicznego.

Niejednokrotnie spotyka się z mniemaniem, że autonomja Śląska posiada ścisły związek z t. zw. konwencją genewską. Pogląd ten jest mylny i niczem nieuzasadniony. Konwencja Genewska zawarta została już po decyzji przyłączenia Śląska do Polski na okres lat 15-tu, dla zabezpieczenia śląskiego, skomplikowanego obszaru gospodarczego przed wstrząsami, jakie rozdzielenie tego obszaru przez granice państwowe pociągnąć za sobą może. Konwencja ta, wprowadzając szereg ograniczeń w dziedzinie ustawodawczej i nakładając na stronę polską i niemiecką szereg obowiązków, a zarazem uprawnień w dziedzinie gospodarczej lub mniejszościowej, wygasa nieodwołalnie w czerwcu roku następnego. Autonomja natomiast, jako rzecz ściśle wewnętrzna polska, istnieć będzie tak długo, aż powołane konstytucyjnie czynniki ustawy autonomicznej nie zniosą lub nie zmienią.

Niewątpliwie autonomja Śląska posiadała i posiada szereg dalekoidących przerostów natury politycznej, które nietylko że nie przynoszą żadnej korzyści ani Śląskowi, ani Polsce lecz utrudniają kolosalnie proces scalania Śląska z Polską i są z tego powodu czynnikiem niepożądanym. Zwłaszcza dla posunięć politycznych mniejszości niemieckiej, którą dawniej cechowały dalekoidące tendencje odśrodkowe, oraz dla niewielkiego zresztą separatystycznego ruchu śląskiego, nie mającego nic istotnie wspólnego z polską ideą państwową, autonomja ta stanowiła niepotrzebną i szkodliwą platformę poczynań wrogich Państwu Polskiemu.

Szkodliwości tego rodzaju przerostów dawały wyraz nietylko czynniki centralne polskie, lecz i zainteresowane czynniki śląskie, które przez usta swych organizacyj społecznych od r. 1923 począwszy, potępiały ten stan rzeczy, domagając się zniesienia lub ograniczenia autonomji. Jaskrawy taki przykład stanowi uchwała, powzięta przez Sejm śląski w pierwszych latach jego istnienia, domagająca się wcielenia młodzieży śląskiej narówni z młodzieżą innych części Polski w szeregi armji polskiej, gdyż zwolnienie od obowiązku służby wojskowej uznane zostało jako rzecz niegodną polskiego Śląska, który tylokrotnie dawał dowody swego patrjotyzmu polskiego i narówni z całą Polską uważał za swój kardynalny obowiązek obywatelski dawanie państwu corocznie swego rekruta.

Przerosty polityczne autonomji, tak bardzo szkodliwe, są dziś już powszechnie przez wszystkich potępiane i dlatego życzyćby sobie należało, aby w czasie najbliższym usunięte zostały formalnie z ustawy autonomicznej.

Nie można natomiast negować pozytywnych walorów, jakie autonomja Śląskowi i Polsce dała na innych odcinkach, a zwłaszcza na odcinku gospodarczym. Śląsk jest terenem tak odrębnym od reszty państwa, poziom jego cywilizacji jest tak odmienny od rozlicznych obszarów Rzeczypospolitej, że stosowanie w dziedzinie gospodarczej tych samych norm prawnych na terenie całego państwa musiałoby się odbić ujemnie nietylko na organizmie śląskim, ale niepowetowane straty pociągnąć za sobą dla całego państwa. — Szczególnie pozytywną rolę odegrał samodzielny Skarb śląski, zagwarantowany ustawą autonomiczną. To też dążyć należy do tego, aby, nie ograniczając słusznych praw Śląska, wynikających z jego odrębności, autonomję przemienić w szeroko rozbudowany wojewódzki samorząd, obejmujący sprawy gospodarcze i kulturalne z samodzielnym skarbem śląskim, jako podstawą działania organów samorządowych. Tym sposobem usunie się te hamulce, jakie ujemnie oddziałują pod względem politycznym, a jednocześnie umożliwi się pozytywny rozwój wszystkich dziedzin gospodarczych i kulturalnych Śląska dla dobra jego i dla dobra całej Rzeczypospolitej Polskiej.



TADEUSZ STYKA Paderewski

Z. NORBLIN-CHRZANOWSKA.

WYSTAWA

Było to przed kilkunastu laty, na pewnym koncercie Kubelika, kiedy znajdował się on u szczytu sławy. Publiczność podziwiała djabelskie tryle, pizzicata, fioritury i pstrykanda, przechodzące już w akrobację i zapowiadające, że za chwilę wirtuoz zacznie chyba żonglować smyczkiem, skrzypcami, kalafonją, chusteczką i licho wie czem jeszcze. Histeryczne dziewice wyły piskliwie: „B-i-i-i-s“, a męskie basy wtórowały im miarowo: „Bis, bis“. Siedzący obok mnie wybitnie muzykalny słuchacz wzruszył tylko ramionami i mruknął półgłosem jedno słowo: „Kuglarz“.

Definicja ta przypomniała mi się żywo przy oglądaniu portretów Tadeusza Styki w „Zachęcie“. „Tadé“ Styka ma niezmiernie licznych fanatyków wśród najszerszej publiczności — i zupełnie kategorycznych krytyków wśród artystów. Wynika to z jego rodzaju talentu — bo talent jest niewątpliwy — i z jego upodobań. Tadeusz Styka urodził się z fantastyczną łatwością malowania. Ojcowska szkoła, która



ADAM STYKA Bisharyni—wojownicy

STYKÓW

od najmłodszych lat kształciła obu synów na malarzy, tę łatwość techniczną jeszcze upłynniła.

Niestety szkoła ojcowska nie dała młodemu Styce rzeczy conajmniej równie ważnej. jak technika: nie dała mu duszy. Nie dała mu także poważnego stosunku do sztuki, ani kultury artystycznej, ani nawet, zdawkowo rzecz określając — gustu.

To, co ten młody malarz wyczynia ze swą niezaprzeczoną, choć powierzchowną umiejętnością techniczną, budzi wprawdzie zachwyt niewybrednych mas, wyobrażających sobie, że tak wygląda „wielki świat" i „prawdziwa dama". Ale widz o jakiej takiej kulturze ogląda te malowane lalki ze smutkiem i przychodzi do przekonania, że talent Styki zmanjerował się już chyba bezpowrotnie. Wszystkie portrety kobiece uśmiechnięte, jak na reklamach pasty do zębów. Wszystkie z jednakowemi rękami, o jednakowych wymanicurowanych paluszkach, z niezmiennym „blikiem" na każdym paznogciu. Takiż „blik" na „perłowych" ząbkach, jeszcze dwa na „oczach jak „gwiazdy", jeszcze jeden ożywia filuterny nosek — oto dama „jak żywa"—wprost wychodzi z ram.



TADEUSZ STYKA W uniesieniu

Nietylko z ram. Z sukni również. Bo portrety Styki odznaczają się nastrojem lekkiej pornografji, takiej w sam raz, żeby je można było jeszcze jednak powiesić w salonie, na upartego. Ale w garsonjerze lepiej. Ten smaczek bardzo się podoba.

Tadeusz Styka swymi portretami dam ze świata i półświatka zyskał sobie rozgłos. Jak zwykle, nie zauważono, że potrafi on namalować przyzwoicie portret męski — i że znaczną część swej „manjerki" w takich razach zarzuca. Portret Paderewskiego jest skupiony, poważny, a choć zdaje się malowany z fotografji — (posiadam takie jedno zdjęcie Paderewskiego, wprost frapująco podobne do portretu Styki) — jednak nie martwy. Wyrazista ręka oparta o fortepian i skupiona lwia głowa — oto co rozmyślnie wydobył Styka, opuszczając wszelkie inne szczegóły, jako przypadkowe i niepotrzebne dla charakterystyki postaci.

Portret prof. Zielińskiego, choć technicznie machnięty z wielką lekkością, ma jednak charakter nieco za figlarny i sztuczny. Z olimpijskiej głowy Zielińskiego można było wydobyć coś więcej ponad samo piękno rysów.

Zamieszczone ilustracje pozwalają porównać skalę możliwości Tadeusza Styki: portret Paderewskiego jako maximum — i tę rzewną dziewoję, zatytułowaną „W uniesieniu" jako najniższy upadek artysty. W tem lukrecjowem mydełku niema nawet poprawnego rysunku w znaczeniu akademickiem: ręka pełna błędów, ramiona drewniane, szyja nie związana z głową. I oczywiście nieunikniona fryzura, zamglone oczy i bezdenna bezmyślność wyrazu.

Tak niestety wygląda portret Styki, gdy dąży do wyrażenia jakichś walorów duchowych. Poprostu malarz nie umie sobie z nimi dać rady, zmanjerowany malowaniem naskórków, zębów i paznogci.

Brat Tadeusza, Adam Styka, ma inną znowu specjalność: egzotykę afrykańską. Malarz ten lubuje się w scenach z życia arabów i beduinów, w malowaniu smagłych kobiet, wielbłądów tancerek, egzotycznych handlarzy i t. p. Malarstwo jego cechuje ta sama łatwość, co malarstwo brata, ale manjera jego wyraża się przedewszystkiem w istnej orgji pomarańczowej, którą nieodmiennie rzuca na płótno. W większej ilości oglądane prace Adama Styki wprost nużą jednostajnością kolorystyczną i zdają się dowodzić, że i on uległ bezapelacyjnie industrjalizacji swej sztuki.

ŚWIAT KSIĄŻKI

Wład. Konopczyński
Polska a Turcja 1685—1792

Nakładem Instytutu Wschodniego w Warszawie. Str. 4 X 315. Warszawa 1936.

Stosunki polsko-tureckie znane nam są bliżej w czasach bojów, zakończonych zwycięstwem Sobieskiego pod Wiedniem, aniżeli gdy — od r. 1699 — ułożyły się pokojowo. Specjalnie co do wieku XVIII uwaga polskich autorów i czytelników widzi przedewszystkiem akcję trzech sąsiadów, zmierzającą do rozbioru Polski. Stosunki z innemi państwami mniejsze budzą zainteresowanie i w ich znajomości musimy stwierdzić wielkie luki. Jedną z nich wypełnił w r. 1924 prof. Wł. Konopczyński przedstawieniem bałtyckiej polityki Polski w wyczerpującem dziele „Polska a Szwecja 1660—1795". Obecnie zaś, jako autor książki „Polska a Turcja 1683—1792", ma wielką zasługę dążenia do ujęcia w jedną całość i do ocenienia całokształtu dziejów pokojowego współżycia Polski z Turcją w ciągu ostatniego wieku istnienia dawnej Rzeczypospolitej.

Jak autor podkreśla w przedmowie, o wyczerpaniu tematu mowy być nie mogło. Wymagałoby to wieloletnich studjów historyka Polski, będącego równocześnie wykwalifkowanym orjentalistą. W braku takiego pisarza dokonał prof. Konopczyński znacznej części pracy, dając obraz niezwykle skomplikowanych stosunków polsko-otomańskich i polsko-krymskich po części na podstawie własnych badań archiwalnych. Wchodzą tu w rachubę nietylko dwa państwa, dwa rządy, ale i konfederaci barscy, i polityka osobista królów naszych, i działalność partyj, wszystko na tle poczynań dyplomatów zachodnio - europejskich i rosyjskich, rozgrywających w Stambule wielką grę o wielką stawkę, o kwestję wschodnią.

Dla dalszych badań tych dziejów otwiera się wdzięczne pole przed historykami tureckimi, bez których pomocy trudno nam zrozumieć tak odmienną od naszej psychikę ich przodków.

W. Olsz.

Słowniczek Morski
Z przedmową prof. A. Brüknera

Toruń 1935. Str. 85. Bibljoteczka Bałtycka, wyd. Instytutu Bałtyckiego.

Rosnące zainteresowanie kwestjami morskiemi pociągnęło za sobą wejście do naszego codziennego słownika wielu wyrażeń z zakresu budowy statków i manewrowania niemi, z zakresu handlu zamorskiego i podróży morskich. Wyrażeń tych niezawsze właściwie używamy, często też tolerujemy niepotrzebnie neologizmy, nie wiedząc o istniejącym już odpowiedniku pochodzenia bądź kaszubskiego bądź cudzoziemskiego.

Dać szerokiej publiczności słownik podręczny wyrazów właściwych z różnych dziedzin życia portu i statku, wojennego czy handlowego, było celem dwóch miłośników kwestyj morskich, d-ra S. Bernatta i mgr. L. Zabrockiego, których pracę wydał Instytut Bałtycki w estetycznej szacie jako jeden z tomików swej Bibljoteki Bałtyckiej. Patronat nad wydawnictwem objął prof. Al. Brückner. Współudział znakomitego uczonego dodaje czytelnikowi wiary w terminologję, ustaloną przez Słowniczek Morski, nie odbiera jednak tej książeczce charakteru popularnego. Bom, fok, rewa, jolka i tyle innych terminów morskich coraz częściej spotykamy w rozmowach czy w druku, bo nasze punkty styczne z kwestjami morskiemi w polityce, w handlu, w sporcie i t. d. są coraz częstsze. Szerokie rozpowszechnienie „Słowniczka Morskiego" Instytutu Bałtyckiego dzięki jego dobremu, zwięzłemu układowi i niskiej cenie (zł. 1.50) powinno przyczynić się silnie do ustalenia u nas terminologji właściwej i jednolitej.

W. Olsz.

Recenzje młodocianych czytelników

Sądzimy, że dla autora książek dla młodzieży najciekawszą recenzją będzie zawsze recenzja pisana przez młodocianego Czytelnika, nie zaś przez dorosłego krytyka zawodowego. Dla rodziców zamierzających kupić książkę swemu dziecku, też wrażenia innego młodego osobnika są cennym drogowskazem. Dlatego od czasu do czasu zamieszczać będziemy recenzje młodocianych czytelników — i prosimy ich o nadsyłanie do Redakcji „Świata", Warszawa, ul. Szpitalna 12. swych uwag o przeczytanych książkach. Recenzje prosimy pisać samodzielnie, bez pomocy osób starszych, bo właśnie idzie nam o bezpośrednie wrażenia młodzieży.

Kornel Makuszyński
„Wyprawa pod psem"

Jest to jedna z lepszych książek Makuszyńskiego.

Tematem są wakacyjne perypetie trzech uczniaków.

Członkowie związku „Trzech Zet" są to mili, niezamożni, piętnastoletni chłopcy.

Poza „Trzech Zet" (Zbyszek, Zdzisław i Zenobi), występuje na czołowem miejscu jedno „A" — pies, Apasz.

Idea książki jest przyjaźń. Czy to międzyludzka, czy też ludzkopsia. Przywiązanie Apasza do jednego z chłopców jest wzruszające. Wogóle pies jest świetny.

Typy chłopców doskonale dobrane.

Właśnie takie uczniaki.

Wkońcu Związek Trzech Zetów przekształca się na Czterech Zetów (Zygmunt).

Zakończenie jest dosyć banalne.

Najpierw chłopcy ostatkiem sił i... pieniędzy prawie dobijają do celu, — gdy okazuje się, że cel wyjechał (to ciotka jednego z chłopców), a następnie „nawrócenie" bogatego panicza, zgryzoty rodziny, pod wpływem szlachetności jednego Zeta i zawarcia dozgonnej przyjaźni między dobrymi biednymi chłopcami i „nawróconym" bogatym paniątkiem — takie zakończenie spotyka się dosyć często w książkach dla młodzieży.

Książka pełna jest humoru, właściwego książkom Makuszyńskiego. Pozatem doskonały jest język, którym chłopcy przemawiają do siebie, gwara szkolna, pełno doskonale podchwyconych, naprawdę używanych między - koleżeńskich powiedzeń, które mogę ocenić „fachowo".

Hania K.

„OGRÓD ROZKOSZY"

W „CYRULIKU"

„Cyrulik" na sezon wiosenny przymknął razurę, a na roścież otworzył dla publiczności — ogród rozkoszy. Jak nam dowcipnie wyłuszczył rzecz Jarosy, chodziło tym razem o to, żeby każdy widz znalazł jakiś numer dla siebie — żeby było dla wszystkich potrosze. Trochę poezji, i trochę ciała. Trochę polityki i trochę kpin ze snobizmu. Może pomysł był nawet słuszny — bo słyszeliśmy o rząd za sobą takie słowa przystojnej młodej pani: „Ja tam w kabarecie nie lubię polityki — bo nic z niej nie rozumiem. Każdy dowcip mąż musi mi wyraźnie tłomaczyć". Biedny mąż...

Na szczęście dla niego — tym razem roboty będzie miał niewiele: numer polityczny jest jeden — ale zato doskonały. „Polowanie" Hemara, wykonane znakomicie przez Lenę Żelichowską i Tadeusza Olszę, mówi „przez kwiatki" dużo i ostro o... miłości sąsiedzkiej.

Lena Żelichowska ma pozatem pełen ekspresji monolog „Kina prywatne", dający jej szerokie pole do popisu. Znów podziwialiśmy niezwykłą swobodę tej artystki w przerzucaniu się z nastroju w nastrój, ogromną wyrazistość mimiki, i coraz doskonalsze opanowanie głosu.

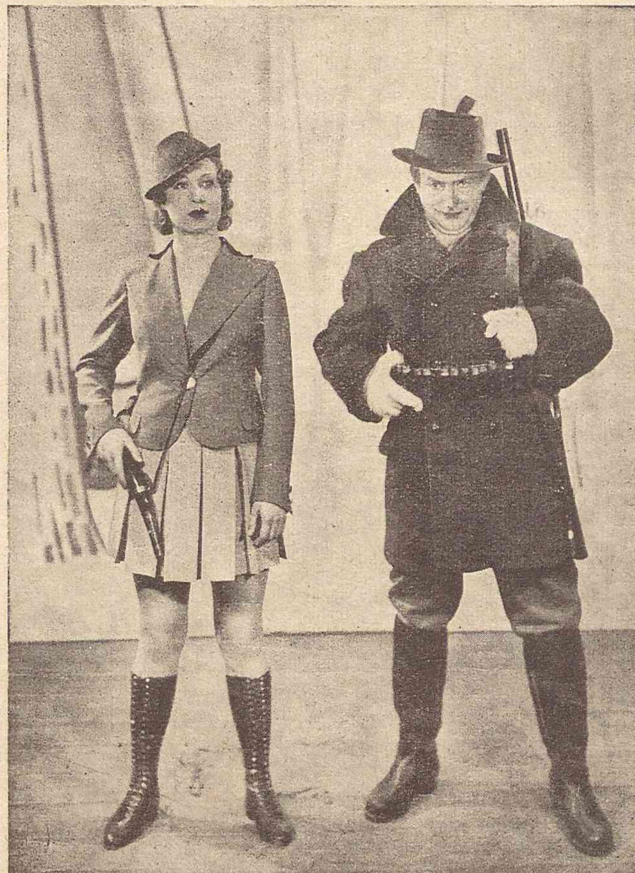
„Kina prywatne" — to jedna z najlepszych dotychczasowych kreacji Żelichowskiej.

Kalinówna jest bezkonkurencyjna w rolach żydowskich półinteligentek — to wiadomo. Jej „Comédie Française" (tekst Hemara) — to jeszcze jedna groteskowa, świetnie wycieniowana figura z tej złotej serji.

Dwie piosenki Zosi Terné, „Panna Marysia, telefonistka", i „Trochę romantyzmu" bardzo miłe, zwłaszcza pierwsza.

Drugi numer Kalinówny „Czy Zdenka jest panienka" zupełnie chybiony: trochę zadużo w nim kropek nad i.

Górska nie miała tym razem odpowiedniej roli. Rentgen zupełnie niewyzyskany, a szkoda. Doskonały pierwszy finał „Czy jesteśmy fotogeniczni" — bardzo zabawnie wyśmiewa rojenia prowincjonalnych kandydatów na gwiazdy filmowe. *Z. N. Ch.*



LENA ŻELICHOWSKA I TADEUSZ OLSZA ŚWIETNI W „POLOWANIU".

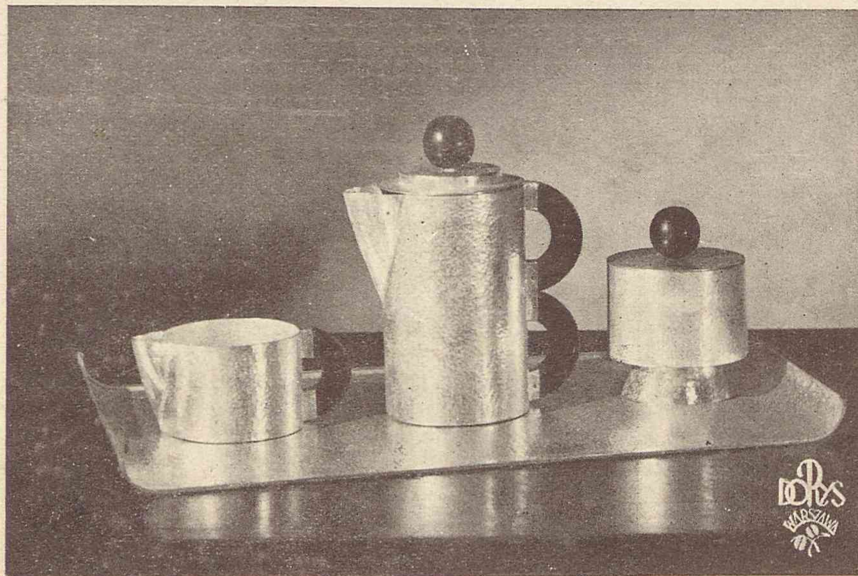


DORA KALINÓWNA W MONOLOGU „COMEDIE FRANCAISE".

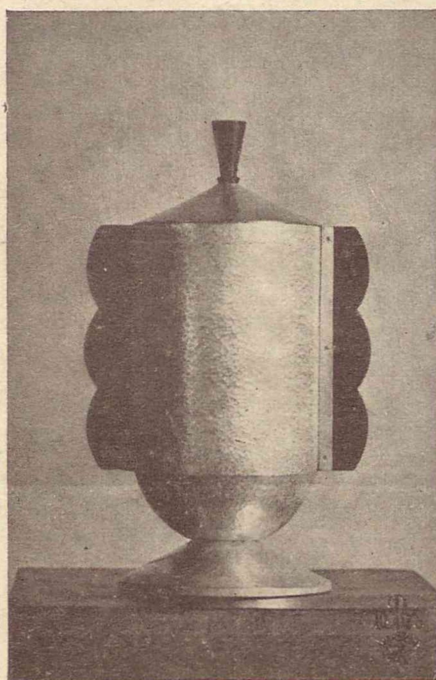


PIERWSZY FINAŁ — „CZY JESTEŚMY FOTOGENICZNI?" GÓRSKA, GROSSÓWNA, KALINÓWNA, LUBICZÓWNA, TERNE, KALINOWICZ, MINOWICZ, OLSZA, PAWŁOWSKI.

TWÓRCZOŚĆ KOBIECA W SZTUCE WNĘTRZ I MODZIE



Julja Keilowa, znana rzeźbiarka, poświęciła w ostatnich czasach wiele uwagi pięknym przedmiotom „codziennego użytku" i, które pod jej ręką artystki przetwarzają się w doskonałe dzieła Sztuki. Wychodzące z warsztatu Julji Keilowej zastawy stołowe, popielniczki, lampy, misy, świeczniki, puhary, ręcznie kute w metalu, są syntezą nowoczesnej prostoty, harmonijnej linji i celowej użytkowości. Ilustracja powyżej — komplet do czarnej kawy, ręcznie kuty w srebrze.



Julja Keilowa — Nagroda sportowa ręcznie kuta. (Metal srebrzony i drzewo)

LEN W MODZIE

„Cudze chwalicie — swego nie znacie" — miałoby się ochotę zawołać oglądając prześlicznie tkane samodziały lniane, tak udoskonalone obecnie pod względem techniki, nie mówiąc już o wyrafinowanych śmiałych kolorach, uodpornionych na działanie słońca i wody.

Po latach prób i badań uszlachetnione „piastowskie" prymitywy płócienne zdabywają prawo obywatelstwa w najwytworniejszej modzie.

Kilkanaście modeli sukien, płaszczów, kostjumów spacerowych i plażowych, bluzek, torebek, kapeluszy, zaprojektowanych przez panie Łoanicką-Bujakową, Karpińską-Kintową, Obrabską-Stieber, Bukowską i Plutyńską, zademonstrowano w tych dniach na publicznym pokazie.



Julja Keillowa — świecznik srebrzony i polerowany.

LNIANE LUDOWE SAMODZIAŁY

są ostatnim wyrazem mody



Komplet — suknia z samodziału poleskiego w paski czerwono-czarne, płaszcz z płótna szarego. Projekt: H. Karpińska-Kintoptowa. Wykonała Spółdzielnia „Inicjatywa".

KOBIETA — I BASTA!

POWIEŚĆ

Każdy nowy prenumerator „Świata“ otrzyma początek powieści Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej „Kobieta — i basta“, której druk rozpoczęliśmy w listopadzie.

Dyrektor teatru im. Wyspiańskiego przypomina ją sobie z trudem. Tak, tak... to ona! Nie widział jej u siebie w dyrekcji od kilku miesięcy. Zapomniał o niej. Trudno. Ma przecież niejedno na głowie i mógł o niej zapomnieć. To zapomnienie odpokutował... Ten Kossacki bez tej małej spartolił mu zupełnie jedną i drugą sztukę. Przeładował ją, obstawił jakiemiś kompletami, jakby żywcem z Wiednia sprowadzonemi i naraził teatr na to, że krytyka coś tam napisała o „marazmie“ dekoracyjnym“ teatru im. Wyspiańskiego. To było przykre. Nieznośnie przykre. Wpłynęło źle na stan nerwów dyrektora, a tem samem na funkcje jego chorego żołądka... Jak tylko skończy swój śpiew ta Karszo-Wolińska (rzeczywiście głos fenomenalny i szkoła pierwszorzędna), dyrektor podejdzie do tej Tarasowiczówny i da jej do dekoracji nową sztukę Georg'a Lipovsky'ego. Da jej tę sztukę. Niech ją ona ratuje od tego poprawnego szablonisty Kossackiego.

Niech ją ratuje. Oczywiście, z Kossackim kontraktu wśrodku sezonu zrywać nie można, ale można mu dać wspólniczkę! Wspólniczkę, która go kiedyś w kabarecie F. D. V. ubrała w pióra swego talentu. Tak... Teraz dyrektor dobrze sobie z tego zdaje sprawę, że ubrała go w p i ó r a s w e g o t a l e n t u.

Dyrektor czeka tylko na ten moment, kiedy Karszo-Wolińska skończy tę arje z Tannhäusera i kiedy będzie można wreszcie podejść do tej Tarasowiczówny, o której mu Kossacki nie przypomniał.

Nie przypomniał!

Drań! Pacykarz!

Dyrektor wścieka się i denerwuje, że ta sopranistka jeszcze się „wydziera“. Poprawia się niespokojnie w pięknym fotelu i niecierpliwie uderza ręką o poręcz pokrytą starym, genueńskim adamaszkiem.

Jak ten Hańcza pięknie mieszka. Phi... Jak się ma tyle pieniędzy i tyle gustu — to można się umeblować! Te meble to napewno autentyczne „Boulle“. Fortepian Bechsteinowski. A obrazy! Czterech Wyspiańskich, dwa Goy'e, jeden Manet, trzech Pankiewiczów, stary Malczewski — galerja!

Karszo-Wolińska górne „cis“ wzięła teraz stanowczo wadliwie i ma grube ramiona. Zato ta Tarasowiczówna jest zupełnie ładna w tem nachyleniu. Młoda. Ładna.

Ah, żeby prędzej już ta Wolińska przestała wyć!... (Nie, ona stanowczo nie ma ani pierwszorzędnej szkoły, ani fenomenalnego głosu, kiedy się ją słucha ze zniecierpliwieniem).

Profesor Hańcza mieszka w starym domu na Kanonji, więc z salonu do gabinetu wchodzi się po trzech stopniach przykrytych perskim kilimem i gra się w bridge'a pod sklepieniem łukowem. W tej niszy stoją dwa Biedermayery, w których może usiąść Marta z dyrektorem i spokojnie z nim porozmawiać.

Spokojnie? Mowy niema o spokoju, wobec tego, że dyrektor jest doprowadzony przez tego Kossackiego do ostateczności i wobec tego, że Marta poprostu z radości nad usłyszaną nowiną usiedzieć nie może. Tchu jej brak! Ma dekorować sztukę Jurka w teatrze im. Wyspiańskiego.

Więc nareszcie! I n a p e w n o!

Jest tak rada, że nawet już nie czuje żalu do Emila i nie sprawia jej satysfakcji ta cała „oliwa, która nareszcie na wierzch wyszła!“

Naśrodku gabinetu w świetle starego szabaśnika świetnie rozgrywa robra ojciec Marty. Jego partner — karykaturzysta Malz sekunduje mu pięcioma atutami i longierem w kierach rozłożonym na inkrustowanym blacie stolika. Dekorator Kossacki i powieściopisarz Kolendowski wpadają na całego wobec tego licytowanego szlemika, który licho podkusiło jeszcze kontrować. Pomimo tak ciekawej gry, kibiców przy stole mało. Dr Widrakiewicz naprzykład woli zbliżyć się do tej pięknej Tarasowiczówny (lubi ładne kobiety), a profesor Link i redaktor Terminowicz też wolą z boku rzucić kilka dowcipów i komplementów tej dziewczynie wesołej, rozbawionej, o błyszczących radością oczach, niż słuchać złośliwego gadania przegrywającego Kossackiego. W obecnych ciężkich czasach tak rzadko widzi się szczęście i uśmiech. Więc nic dziwnego, że wszyscy chcą popatrzeć na tę dziewczynę, od której radość łuną bije i której dowcip tęczą się mieni. Jest miła. Pogadała tylko trochę, krótko i inteligentnie o „rewizjonizmie w sztuce teatralnej“, i o „przeroście dekoracji i przebogatego zdobnictwa“. Okazuje się, że świetnie zorjentowana jest w historji sztuki dekoracyjnej i wie o starym Burhard'cie z Wiednia (czem ujmuje sobie bardzo profesora Linka). Natomiast prostotę gry na tle kotar nazywa kontrastową przesadą!

Oh, miła... Umie zmieniać temat rozmowy i więcej już nie mówić o teatrze! Nie przypomina w niczem tych nieznośnych kobiet, które w towarzystwie zasypują wszystkich wiadomościami o składnikach chemicznych, o chorobach ścięgien i woreczka flegmowego, o źródłosłowach danego wyrazu i spierają się do upadłego z mężczyznami na temat równouprawnienia kobiet...

Nie. Tarasowiczówna jest miła, ładna i bardzo... kobieca. Nic dziwnego, że Hańcza malował ją tego lata w Kazimierzu! Ta dziewczyna jest piękna i ciekawa. Jest interesująca i zachwycająca. Mogłaby być natchnieniem poety, muzą artysty i Egerją!

W jadalni w czasie tego przemiłego przyjęcia bufetowego (bez krępy i pompy) wszyscy chcą być już tylko przy niej. Przy niej, która ma uśmiech słoneczny i włosy słoneczne.

Anetka Wińczówna tak bardzo prosta i naturalna — na gruncie towarzyskim, przybiera pozy i zgrywa się, jak prowincjonalna „krowienta"...

Dyrektorowa pomimo urody i młodości gaśnie też przy tej Tarasowiczównie. Jest jakaś wyblakła, spłowiała przy tej zdrowej, wesołej dziewczynie. Uśmiecha się z rezerwą, nie umie odparowywać dowcipów, jest anemiczna... Minęły już czasy, kiedy się w kołach literackich zachwycano głupiemi kobietami — więc... więc dyrektorowa nie ma powodzenia.

Zato Tarasowiczówna! Tarasowiczówną się wszyscy zachwycają i Tarasowiczównę już wszyscy lubią i Tarasowiczównę wszyscy nazywają zdrobniale „Sexappealkiem".

*

„Sexappealek" nie byłby kobietą, gdyby ze swego dzisiejszego powodzenia nie był rad.

Jakże odmienne jest to powodzenie od tamtego powodzenia z fajfów u stryjenki Tuty! Mężczyźni zebrani w tamtym salonie pili i mówili głupstwa. Przyciskali w tańcu i nie wiedzieli zupełnie o tem, kim Tarasowiczówna jest.

Naprzykład taki Rosłankiewicz. Chwalił bardzo jej prace, bo tak wypadało, ale jak co do czego przyszło, okazało się, że nie widział ani jednego jej obrazka (wziął natomiast jedną akwarelę Tankiewicza za jej pracę).

Ten gruby pułkownik nawet nie wiedział zupełnie, że ona maluje. Nic dziwnego. Ani w Zachęcie, ani w I. P. S-ie nie był ani razu!

A Szenker? Szenker na teatr im. Wyspiańskiego i „na jego dramaty zdrowia nie ma". Więc zapewne nawet nie zrozumie tego wielkiego odznaczenia artystycznego, jakie spotkało Martę. Nie zrozumie.

Ale Marty już to wszystko razem wcale nie obchodzi. Ona będzie miała teraz „swój świat", „swoją pracę" (którą trzeba będzie jakoś pogodzić z biurem „Urządzeń Sklepowych i Wnętrz") i będzie miała może „swojego mężczyznę"...

„ODWRÓCONA KARTA".

Lokal biura „Urządzeń Sklepowych i Wnętrz" (B. U. S. I. W.) dopiero przed dwoma miesiącami pięknie odnowiono i umeblowano, bo dopiero przed dwoma miesiącami otrzymano trochę gotówki i te zaległe 500 złotych od tej firmy spożywczej (której urządzano witryny), 1500 wpłacił mąż jednej ze wspólniczek, 3000 zł. dostano kredytów i 2500 złotych pożyczki rządowej z Funduszu walki z bezrobociem (Marta zaangażowała dwadzieścia kobiet ze szkoły sztuki stosowanej, które nie miały z czego żyć). Można więc było zaraz dokupić te parterowe mieszkanie obok sklepu, urządzić biura, kupić materjały techniczne i otworzyć pracownię artystycznych manekinów z papieru maché i stojaków wystawowych z niklu i drzewa.

Marta pracowała przez te całe dwa miesiące, jak szalona. Przyjmowała zamówienia, projektowała, organizowała, zakładała, reformowała, sprawdzała pracę i sprawdzała książki rachunkowe.

Znajoma malarka, Baśka Wolejowa, pomagała jej w pracy energicznie. Wanda, ta, co skończyła politechnikę przed dwoma laty, zajęła się racjonalną gospodarką świetlną. konstrukcją żelaznych siatek wystawowych, sprawą zamarzania wystaw sklepowych i wentylacją. Pozatem architekt Maryna Sobieniewicz wzięła to — co wziąć powinna była.

Biuro Urządzeń Sklepowych i Wnętrz „B. U. S. I. W", bez którego żaden sklep w Warszawie obejść się już nie mógł.

Mówiono teraz:

— „Jakto? ta firma z materjałami ma na wystawie brzozy z białego nakrapianego mongolu i wierzby płaczące z zielonej organdyny, a my nic? A więc, my też musimy mieć podobne, albo i lepsze".

Albo wołano:

„Jakto? Więc te konkurencyjne zakłady R. W. S. mają mieć palmy z noży, z liśćmi ze scyzoryków, a my nie? Czem my jesteśmy gorsi"?

Ubiegano się teraz o te, „dowcipuszki" dekoracyjne!

Ubiegano się teraz o efektowne, nowoczesne w linji, uśmiechnięte kokieteryjnie, manekiny do sklepu galanterji damskiej, do składu futer i gorseciarni. Ubiegano się o dżentelmenów i sportsmenów z papier maché do wielkich zakładów krawieckich.

Ubiegano się o kształtne i zgrabne nogi do składu obuwia i do sklepu z pończochami.

Kupowano stojaki niklowe i szklane, aby na nich stawiać pasty do czyszczenia klamek, aby na nich zawieszać materjały i umieszczać na nich słoiki z grzybami marynowanemi.

Praca kipiała.

W październiku Marta dobrała dziesięć nowych pracownic. W listopadzie część pracy odsyłać zaczęła do warsztatów stolarskich, a w grudniu do biura zaangażowała prawdziwą buchalterkę i maszynistkę.

Teraz... Teraz już pisano w gazetach o odrodzeniu estetycznem warszawskich wystaw.

Teraz już i mama Tarasowiczowa chciała złożyć na ręce córki swoje oszczędności. Swoje pieniądze od lat ciułane i ukrywane pod stosami czysto upranej i pięknie uprasowanej bielizny. Teraz już mama Tarasowiczowa nie bała się, aby Marta te pieniądze zmarnowała lub procentów od nich nie płaciła.

Na taką największą pracę, największą frekwencję zamówień, nadeszła dla Marty radosna wiadomość o zaangażowaniu jej do teatru im. Wyspiańskiego. Embarras de richesse!

Oczywiście ojciec ucieszył się z tego bardzo. Martwił się tem poniżeniem talentu córki w tym „Bussiwie". Ale reszta rodziny. Reszta rodziny poprostu załamała ręce! Przecież Marta musiałaby w ten sposób zaniedbać pracę w Bussiwie. Musiałaby w błoto rzucić tak wspaniale prosperujący interes i musiałaby kilka srok za ogon ciągnąć! Znów zaczęli się o nią martwić, znów zaczęli się do niej wtrącać i znów zaczęli nad nią ręce załamywać.

Ale Marta zrobiła tak, jak chciała, z wiarą, że teraz już stoi na mocnych nogach. Rano wydawała dyrektywy w Bussiwie, w południe biegła do teatru im. Wyspiańskiego, wieczorem sprawdzała pracę i rachunki w biurze.

Dziw, że ją to wszystko ani nie męczyło, ani nie pozbawiało humoru. W tym okresie czasu Marta dwoiła się i troiła w pracy i kipiała inwencją twórczą. Wprawdzie nadchodziły na nią chwile, w których nie umiała wyrazić w formie tego, co przepełniało jej wyobraźnię. Wprawdzie w tym okresie zaznawała odpływów i przypływów mocy twórczej, ale w każdym razie, naogół, pod wpływem pomyślnych warunków życia osobistego i nadziei na przyszłość talent jej rozkwitał i potężniał.

I coraz częściej uśmiechała się do pracy swej, która realizowała się w minjaturowych makietach poszczególnych aktów i barwiła w szkicach kostjumów.

Ludzie, którzy mieli zaludnić scenę, zrodzili się w duszy Jurka! To było rzeczą może najważniejszą i najbardziej doniosłą! Trzeba więc było im wszystkim dać tło dla ich życia, maski dla ich uczuć, ubiory dla ich postaci.

Reżyser miał w rękach listy Jurka. Z reżyserem więc Marta porozumiewała się teraz, aby on był łącznikiem między twórczością jego i twórczością jej.

Marta chciała być teraz tylko echem. Chciała zatracić swoją indywidualność, aby móc zrozumieć Jurka!

Reżyser był tem wszystkiem zachwycony i oczarowany. Nazywał to „współpracą" wymarzoną, którą należało stawiać, jako przykład aktorom. Dyrektor słuchał tych pochwał reżysera i radował się niemi. Za dyrektorem i reżyserem poszli teraz wszyscy! Cały personel artystyczny i techniczny teatru zachwycał się teraz talentem Tarasowiczówny i pracą Tarasowiczówny!

Dobra karta w księdze karjery życiowej Emila Kossackiego odwróciła się i nie było na to rady! Dyrektor nie szczędził mu teraz przykrych uwag i drwin, lekceważących powiedzeń i uśmiechów ironicznych. Nie pomagały teraz jego ukłony, jego nadskakiwania i pokorne popatrywanie w dyrektorskie oczy. Nie pomagało jego kręcenie się nieustannie za kulisami i jego rozmowy na próbach z aktorami... Życie jego w teatrze stało się tak przykre i ciężkie, że wydawało się poprostu nie do zniesienia!

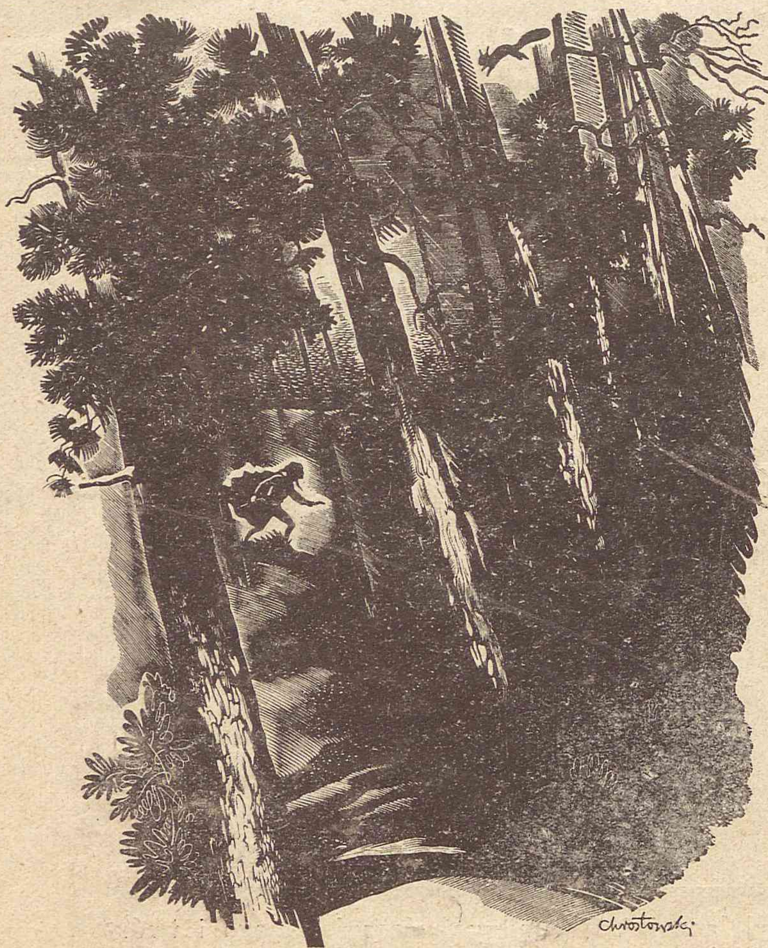
Naprzykład taki Rawicz (najlepszy aktor w Polsce) ośmielał się na próbach brać go za cel swoich ostrych dowcipów.

Naprzykład taka Aneta Wińczówna nie słuchała wcale, kiedy on do niej mówił i odkłaniała mu się przez ramię.

(D. c. n.)

Z WYSTAWY BLOKU Z. A. P.

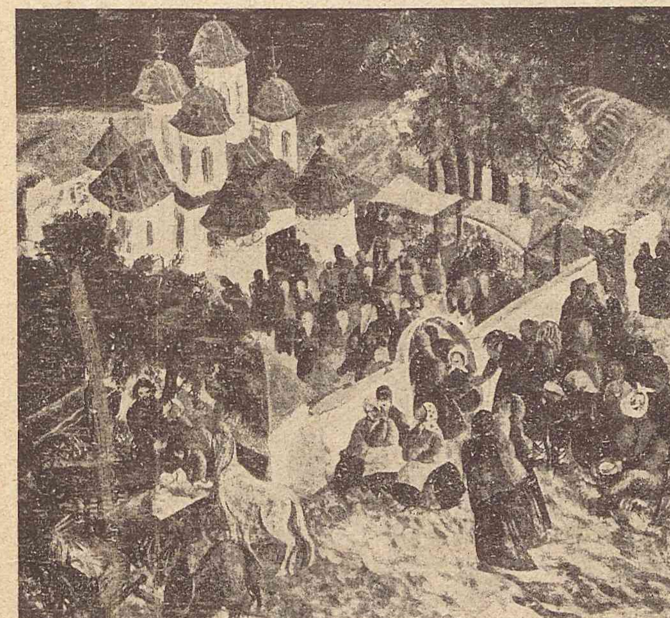
W INSTYTUCIE PROPAGANDY SZTUKI


STANISŁAW CHROSTOWSKI — Ilustracja (sztych na drzewie)

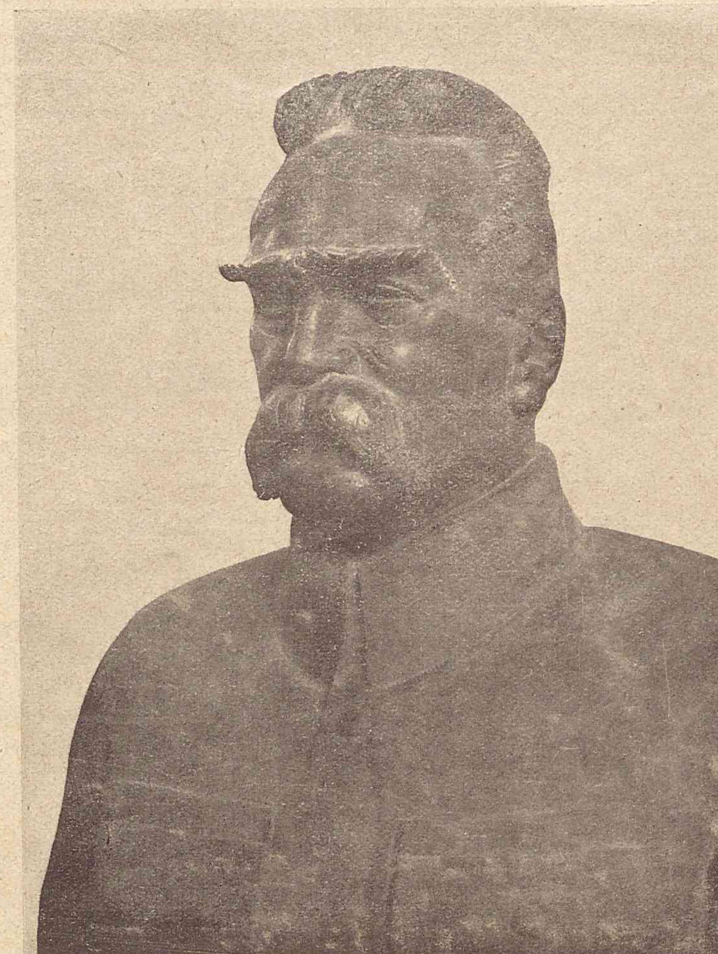

LUDWIKA NITSCHOWA — Portret p. Zofji Ż. (bronz)


ZOFJA TRZCIŃSKA-KAMIŃSKA I ZYGMUNT KAMIŃSKI — „Hetman Stefan Czarniecki" (gips)


HENRYK JAWORSKI — „Prządki" (pastel)


TERESA ROSZKOWSKA — „Odpust w Ostrowcu" (tempera)


TADEUSZ PRUSZKOWSKI — „Ruda" (olej)


FRANCISZEK STRYNKIEWICZ — Popiersie Marsz. J. Piłsudskiego (gips)


ELJASZ KANAREK — „Chłop z kogutem" (olej)

ŻYCIE W KOLORACH

POWIEŚĆ

Każdy nowy prenumerator „Świata" otrzyma początek powieści W. Bunikiewicza „Życie w kolorach", której druk rozpoczęliśmy w październiku.

Austrjacki sztab nie wierzył, aby Rosja mogła jeszcze raz wystawić armję zdolną do stawienia czoła zwycięskim głowom z pod Gliwic.

Ani kawaleryjskie wywiady, ani loty wgłąb rosyjskich pozycyj nie zmieniły przekonania sztabowców.

Meldunki o ruchach wielkich oddziałów wojskowych i rozbudowie stanowisk dla artylerji przyjmowano z niedowierzaniem, a jednemu z lotników, który przywiózł wiadomość o pozycjach ciężkiej artylerji, zagrożono sądem wojennym za rozsiewanie kłamliwych wieści.

Wedle obliczeń austrjackiej generalicji, Rosja była w puch rozbita i nieprędzej, jak za pół roku, mogła zdobyć się na poważniejszy czyn wojenny.

Wszystkie zaś obecne próby są bufonadą i blagą, obliczoną na zamydlenie oczu, celem utrzymania swej powagi w wszechświatowej grze dyplomatycznej.

A zatem — naprzód!

I poszliśmy.

Doświadczenie mieli już żołnierze, nie pędzili jak rekruci na karpackie stoki, lecz ostrożnie posuwali się naprzód, nie ufając oficjalnym zapewnieniom, iż mają przed sobą niedołężnego nieprzyjaciela.

Ale i Moskale byli gracze.

Skrzydła ich trzymały się twardo, natomiast środek zwolna ustępował.

Pułkownik Bauer wstrzymywał swe oddziały w obawie, aby nie wpaść w pułapkę, lecz z dowództwa frontu napływały rozkazy:

— Naprzód! Rezerwy nadciągają.

Było to jednak zwykłe austrjackie gadanie.

Posiłki odpoczywały o trzydzieści kilometrów za frontem i w najlepszym razie mogły przybyć nad ranem.

Dywizja nasza wpadła w sztucznie wytworzoną matnię, z której nie było już powrotu.

Skrzydła nieprzyjacielskie, ograniczające się wyłącznie do obrony, przeszły nagle do ataku, a natarcie było tak silne, że pod jego naporem zachwiały się bataljony przemyskiego pułku.

Starto je na miazgę, a z trzech tysięcy ludzi ocalały niepełne dwie setki niedobitków.

Matnia coraz bardziej się zacieśniała.

Pułkownik Bauer dał sygnał do odwrotu, rozkazując naszemu bataljonowi wstrzymywać jaknajdłużej natarcie, idące z prawego skrzydła i z boku.

Z przedziwną dokładnością wytrawnych żołnierzy rozwinął się bataljon do nowego zadania i wrósł w ziemię.

Obojętne już były rozkazy. Inteligencja i odwaga każdego piechura rozstrzygała o wymotaniu się z tragicznego położenia.

I jeśli zwątpił kto kiedy w rycerską rasę polskiego i ruskiego chłopa, masowo niszczonego przez austrjackie sztaby, mógł zdumiewać się jego sprawnością i tężyzną.

Rozciągnięci w klin, wyrywali szczerby w gwardyjskich pułkach, zatapiani ulewą kul, która spadała na nich jak orkan.

Karabiny rozgrzały się do tego stopnia, iż nie można ich było utrzymać w ręce, a magazyny nie wchodziły już do luf.

Rosjanie zaś słali świeże siły, chcąc zdusić dywizję przed nadejściem posiłków.

Coraz gorsze wieści przynosiły meldunki z placu boju.

Pułk rzeszowski, poniósłszy ogromne straty, poszedł w rozsypkę, a Samborzanie, dziesiątkowani ogniem artylerji i karabinów maszynowych, cofali się krok za krokiem, coraz słabiej odgryzając się nieprzyjacielowi.

Padł ich pułkownik i wszyscy dowódcy bataljonów, w niektórych zaś kompanjach wybito wszystkich oficerów, więc wiedli je sierżanci i plutonowi.

I z najbliższego odcinka wiadomości były przerażające.

Strzelbicky'ego ranił szrapnel, więc dowództwo bataljonu przechodziło w moje ręce.

Były to już szczątki. W kompanjach pozostało conajwyżej po stu ludzi, licząc w to lżej rannych, którzy nie wypuszczali z rąk karabinów.

Naraz spadł grom.

Piperitza rozerwał granat, a Mudroch przysłał meldunek, iż w ciągu pięciu minut wywiesza białą chustę, albowiem nie ma prawa gubić bezcelowo ludzi.

To samo uczynił profesor Vodiczka.

Pod urzędowym raportem dopisał Mudroch postscriptum:

Radzę ci, idź za moim przykładem, jeśli jednak się rozmyślisz i ocalisz z tego piekła, daj znać mojej matce, żem zdrów.

— Nie, nie złożę broni!

Od lewego skrzydła tyraliera, wstecz, na prawem skrzydle wzmóc ogień!

Co to? Błysk, huk, chcę jeszcze coś mówić, w boku straszliwe szarpnięcie, nic już nie wiem...

Ciemno mi....

Jezus, Ma.....

NA PUCHACH.

Obudził mnie dopiero turkot pociągu.

Przy posłaniu stał Pietrek Adamek, a widząc, że otworzyłem oczy, uśmiechnął się radośnie.

— O, laboga, panie oberleutnant, już miałem stracha, że pan nie wyżyją, siedem odłamków wyjęto z boku, ale na nogę będzie pan kulał, bo strasznie rozdarta...

— Dobrze, że my są razem i jedziemy do szpitala.

— Zafasowałem, co potrzeba i mam nawet w menażce rosół z kury, którą zastrzelili Mos-

kale z kuferka, w ten sam dzień, gdy stało się nieszczęście.

Pies miał zjeść? Zabrałem.

Ale co najadłem się strachu, tego nikt nie opisze, dostanę napewno duży medal srebrny, albo i złoty, za to, że wyciągnąłem pana oberleutnanta z ognia.

Dwa konie zabili pod nami ścierwy, gdyśmy uciekali, a z całej kompanji wyszło siedem ludzi, reszta same trupy, nawet w niewolę nie było kogo zabierać.

Po dwudziestu godzinach snu i omdlenia uczułem się raźniejszy i choć każde poruszenie sprawiało mi ból, błogi spokój zapanował w duszy.

— My już panie oberleutnant na wojnę nie pójdziemy, bo zanim się noga i bok zgoją, albo Austrja się rozleci, albo Rosja zbankretuje...

Opowiadał mój znajomy pucer od leutnanta z lotnictwa, że z pozabijanych ludzi pod Pieskową Wolą mógłby złożyć dwa wielkie miasta, takie jak Przemyśl, albo jeszcze większe.

Pietrek kręcił się ustawicznie wokół posłania i mełł językiem bez przestanku.

Widocznie odżyła w nim fantazja, skoro poczuł niebezpieczeństwo poza sobą.

— Bo ja panie oberleutnant, mówił dalej, wiedziałem, iż nie wyjdziemy cali z pod Pieskowej Woli. Żal mnie straszny chwycił za serce, że pan oberleutnant będą zabici, albo pójdą na Sybir, boby mnie sierocie dali zaraz karabin w rękę i napędzili do frontu, więc zebrałem w bezpiecznem miejscu wszystkich pucerów i my uradzili nie zostawiać na polu naszych panów, chybaby już całkiem z nich dech wypruło.

Nie ruszajcie się panie oberleutnant, nie ruszajcie, bo jeszcze wam wyskoczy z zawiasów złamane żebro.

Pociąg wlókł się żółwim krokiem, zatrzymując się na każdym przystanku, a do przedziału wpadali co trocha żandarmi wojskowi, aby sprawdzić papiery podróżnych.

Z wyrazem dumnej pogardy przyjmował Pietrek takie odwiedziny i wyciągając z zanadrza marszrutę dodawał: Schwer verwundet!

— Ale najgorsze panie oberleutnant było wtedy, gdym was odwoził do polowego szpitala. Jechaliśmy gościńcem, a Moskale zaczęli bombardować drogę. Głupi chłop żałował koni i poganiał jak ze smołą, a tu granat, szrapnel, szrapnel, granat.

Mówię, podetnij ojciec szkapy, bo my wojnę skończyli i nie mam prawa zginąć, gdy jadę do szpitala.

A on nic i powiada:

Dwa miesiące wożę już rannych i wiem jak jechać.

— Ty świńska cywilbando, zatracone ucho, jak nie wydrę bat i raz w konie, a raz w chłopa, tak wam panie oberleutnant tylko zęby kłapały z galopu i przepędziliśmy wszystkie kule.

A możeby papierosa? Ekstra egipskie, schowałem całe pudełko od wypadku. Chwała Bogu, że już wam panie oberleutnant smakuje palenie, w szpitalu posiedzimy z pół roku, bo niema się czego spieszyć, a tymczasem wojna ustanie.

Tylko, żeby wam nogi nie ucięli, bo i to być może, gdyż doktorzy kręcili głową nad wami panie oberleutnant i zaraz dali marszrutę do hinterlandu.

Już wam dobry wybrałem szpital, nie tak, jak ten głupi Kacper, który ledwie zawiózł swego pana, już ich obu wygnali na front.

Do Pragi Czeskiej jedziemy panie oberleutnant.

— Czyś zwarjował? Przecież Kraków mamy po drodze.

— Kraków już dawno minęliśmy, spaliście wtedy panie oberleutnant, przyszły łapiduchy i chciały was brać...

A ja mówię, nein!

— Czemuż nein?

— Bo mój pan Czech...

— Polskie nosi nazwisko i w dokumentach napisane, że urodził się pod Tarnowem...

— Ja zaś na to:

— A jakby was urodziła matka w balonie, czembyście byli panie kapral?

Mój pan ma w Pradze żonę, pięcioro dzieci i matkę, tam chce umrzeć, bo mu się dużo już nie należy, a po polsku nie umie ani w ząb.

— Pietrek, żywcem cię upieką djabli w smole, szelmo jedna.

— Pewnie, że szelma, bo się wyparłem swego rodu, ale do Krakowa nie pozwoliłem was zabrać panie oberleutnant, bo stamtąd przeganiają zaraz na front, aby służyć cesarzowi.

Ledwie rana się zaklei, już doktorzy pędzą w pole, bo w okopach zdrowsze powietrze, niż w szpitalu.

A może nie wygonili do pułku fähnricha Kowalskiego z bandażami na łokciu?

Aż dziwili się lekarze niemieccy, że niezagojonego wysłali w pole. Kazali mu zaraz wracać, więc biedaczek pojechał do Wiednia i leczyli go jeszcze cztery miesiące.

W Krakowie pilnie wysługują się najjaśniejszemu panu.

Dobrze się uradziłem panie oberleutnant podczas tej wielkiej bitwy, bo wiedziałem, iż wam się coś stanie.

Gotowałem wtedy kluski w chałupie, a naraz granat w komin łomot, zmarnowało się wszystko, tylko skwarki uratowałem.

Mało mnie nie zabiło.

Pan kapitan Strzelbicky także z nami jedzie, leży w drugim wozie i ruszać się nie może, bo ma dziewięć ran w ciele. Przyszedłby na pewno do was, panie oberleutnant i kazał się kłaniać, gdy się zbudzicie.

On całą drogę już gada po polsku, ale w Krakowie także nie chciał zostać, bo mu pewnie wstyd, że nie umie dobrze polskiej mowy.

Na każdym postoju wychodził Pietrek Adamek z wagonu, zabierał menażki oraz manierki i wracał objuczony jedzeniem, herbatą, rumem, winem i papierosami. Stary mundur wymienił na nowy i otrzymał nowiutkie buty, czapkę i kilka par bielizny.

Nie zapomniał również o kapitanie Strzelbicky'm i służącego jego, Wasyla, mustrował gorzej, niż kapral rekruta.

Pietrek Adamek zabłąkał się przypadkiem do góralskiego pułku.

Schwytali go żandarmi i przyprowadzili jako włóczęgę nigdzie niemeldowanego, w cywilu bowiem posiadał osobliwe zajęcie.

Oprowadzał dziadów po odpustach, dbał o ich kwatery i jedzenie, a nadto układał okolicznościowe pieśni, więc słusznie nazywał się poetą.

— Dobre to było zajęcie, spowiadał się kiedyś w przystępie szczerości.

Od porządnej kompanji zarabiało się dziennie dziesięć koron, nie licząc w to jedzenia, i to niebylejakiego, ale dziadowskiego: kiełbasa, mięso biały chleb, wódka, trzy morgi gruntu dokupiłem, a u nas pod Przeworskiem ziemia droga, panie oberleutnant.

Czwartego dnia podróży dobrnął pociąg do Pragi.

Pietrek jakby urodził się w tem mieście.

Poszedł między żołnierzy, w lot porozumiał się z Czechami, a po chwili wydał rozkaz:

— Wasyl, bierz swego pana, jedziemy.

Wraz z Strzelbicky'm znalazłem się w karetce sanitarnej.

* * *

W wielkiej, słonecznej sali szkolnej stoi wedle siebie dwanaście łóżek.

Nastrój panuje ożywiony.

Część chorych siedzi przy stole i gra w karty, kilku nie wróciło jeszcze z przechadzki po mieście, dwóch leży w łóżku i umila sobie czas opowiadaniem anegdot.

Zjawienie się nowych towarzyszy wywołuje pewne niezadowolenie.

Można wyczytać w twarzach niewymówione pytania:

— Co za jedni, skąd pochodzą, czego chcą?

— Przepraszam, że każdemu z osobna nie mogę się przedstawić, gdyż przeszkadza mi rana w nodze i boku, wymieniam nazwisko, dodając szarżę i nazwę pułku.

— Polak, Kroat czy Rusin? — odzywa się równocześnie kilka głosów.

— Polak!

Pięć dłoni wyciąga się z powitaniem, a chorzy z łóżka wykrzykują:

— Na zdar, bratrze!

Po kwadransie rozmawiamy już jak przyjaciele.

— A ten drugi? — zapytuje mnie mocno już szpakowaty porucznik pospolitego ruszenia, zwany dla skrótu Ojczulkiem.

— Polak, ale zniemczony, zaczyna się przerabiać, — odpowiadam z pewnem wahaniem.

— Już my go dokończymy — rzecze Ojczulek i bez ceremonji zwraca się do Strzelbickiego:

— Cierpisz kapitanie? Zaszczytne są rany dla ojczyzny, już wiedział o tem stary Jaburek.

Chorzy wybuchają śmiechem, a Ojczulek ciągnie dalej:

— Jaburek był kanonierem za czasów marszałka Radeckiego, wtedy, gdy Austrja prowadziła jeszcze zwycięskie wojny. Kula urwała mu prawą nogę, stał na lewej i strzelał, stracił lewą nogę, wspierał się na kikutach i palił z puszki; nie przestał, gdy odleciała mu lewa i prawa ręka, a kiedy spadła głowa z karku, zawołał:

— Umieram za cesarza!

Ale niema obawy, abyśmy za niego umarli, bo mamy głowy we właściwem miejscu.

Sala huczała od śmiechu, a Strzelbicky poruszył się niecierpliwie na łóżku i stęknął, najwidoczniej z bólu, bo materac był nieco twardy i obluzował się bandaż na ramieniu.

Nazajutrz rankiem grobowa atmosfera zapanowała na sali szpitalnej.

Oczekiwano wizyty lekarskiej.

Czcigodny profesor, w towarzystwie swego asystenta i całego sztabu pisarzy, obchodził sale, przystawał przed każdem łóżkiem i pytał:

— Jak zdrowie?

— Źle bardzo panie profesorze, nie czuję żadnej poprawy — odpowiadali chorzy.

Najgorzej narzekał porucznik Wousek.

Reumatyzm wykrzywiał mu bowiem ręce, wkradał się do nóg, objął już krzyże, a nawet grasował po głowie.

Profesor opukał i obejrzał chorego, wreszcie wyrzekł: (D. c. n.)

TRUDNO ŻYĆ NIEPRZYZWYCZAJONEMU



Film niemy w roku 1936—impreza, jak twierdzili zgóry różni kinomanjacy, najoczywiściej przegrana. Trzeba ten film zobaczyć, żeby się przekonać, że publiczność „wali drzwiami i oknami" — i że film jest świetny. Na taki eksperyment może sobie jednak pozwolić tylko największy artysta ekranu — Chaplin.

„Dzisiejsze czasy" — to klasyczny film chaplinowski: śmieszy i każe myśleć, bawi i pobudza do melancholji. Jest w nim wszystko: głupota więzów, któremi człowiek skrępował samego siebie, dążąc nibyto do wyższego stadjum rozwoju. I bezbronność osobnika, który nie ma mocnych pazurów i pięści, aby się w dżungli ludzkiej wydostać na wierzch. Beztroska łazika, niezupełnie rozumiejącego nakazy gromadzkiej moralności i różnicy między „twoje" i „moje". Fantazja poety, zamyślenie filozofa, dziecięcy uśmiech naiwnego, i sroga opieka policji, i kraty więzienia, i zachłanne tryby maszyny, niszczącej człowieka.

Dlaczego film ten wywołuje tak silny oddźwięk u widza?

Najprawdopodobniej dlatego, że każdy z nas choćby w małej części odnajduje w Chaplinie — siebie. Każdy z nas jest — w słabszym lub silniejszym stopniu — maltretowany przez życie nowoczesne, przez tempo, maszynizację, standaryzację, paragrafy i przepisy, regułki i formułki. Każdy czuje się Chaplinowi duszą bratnią, gdy biedaka, Bogu ducha winnego, aresztują za manifestację anarchistyczną, na której czele znalazł się w najbardziej przypadkowy, a jakże naturalny sposób. Każdy z nas marzy o takim rozkosznym domku, który wymyślił zakochany Chaplin - poeta dla siebie i swojej miłej: w tym domku rosłyby w oknie właśnie takie pomarańcze, które zrywałoby się nonszalancko i zajadało z apetytem. Przed tym domkiem przechodziłaby o oznaczonej godzinie potulna i mądra krowa, zatrzymywałaby się przed progiem, i napełniałaby nasz dzbanek mlekiem bez żadnej zgoła pomocy — tak, jak to ku niepomiernej uciesze widzów czyni dla Chaplina. I każdy z nas chętnieby czasem odpoczął od zgiełku i szarpania współczesnego życia w takiem miłem więzieniu, gdzie za dobre sprawowanie dostaje się luksusową celkę z firaneczkami, wygodnym tapczanem i.. śpiewającym kanarkiem. Idziemy tak za Chaplinem przez wszystkie jego perypetje, i czujemy nieprzerwanie: to trochę ja...

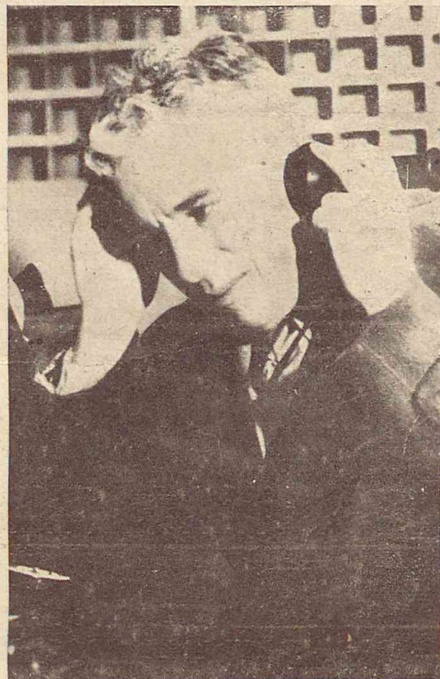


Na tem polega urok i siła tego filmu.

Chaplin nie mówi do tych, którzy się spiczastemi łokciami brutalnie przepychają przez życie. Dla tych jest tylko — wesołkiem. Wszystkim innym, tym, dla których „dzisiejsze czasy" są za trudne, wymagają nadmiernego życiowego sprytu, ciągłego pchania się wzwyż kosztem spychania innych w dół — tym wszystkim w filmie swoim Chaplin podaje rękę. Bo oni go nietylko rozumieją. Oni go odczują.

Nie należy przypuszczać, że jest to film smutny. Przeciwnie — przez cały czas rozlega się prawie nieustający śmiech widzów. Chaplin jest *irrésistible* w swym nieruchomym komizmie, w swej obszarpanej dżentelmenerji, w swem bezgranicznem zdumieniu nad dziwacznością życia. Gagów — i to pierwszorzędnych, rozsiano w „Dzisiejszych czasach" mnóstwo ze szczodrobliwością magnacką. Opowiedzieć wszystkie niesposób. Film ten trzeba zobaczyć po raz pierwszy, a potem, rzecz jasna, idzie się na niego po raz drugi i trzeci. I za każdym razem odkrywa się nowe jego uroki.

Chaplin jako robotnik w fabryce. Stoi przy taśmie i dokręca śrubki. A argusowe oko wszechwładnego szefa, jakby



dostrzegło tego zabłąkanego wśród maszyn poetę, rzuca groźny błysk. **„Oddział V — zwiększyć tempo!“** — pada co jakiś czas rozkaz. I tempo się zwiększa. Chaplin się dwoi, troi, aby nadążyć — wreszcie, nerwowo nie wytrzymując, dostaje ataku szału, dokręca zamiast śrubek nosy swoim zwierzchnikom, guziki na sukniach stenotypistek, rozkręca śruby i tryby maszyn — powoduje jakąś fantasmagoryczną katastrofę. Przedtem jednak pozwala (bo musi) — wypróbować na sobie „genjalny“ wynalazek, proponowany fabrykantowi: maszynę do karmienia robotników. (Wszystko — aby było prędzej. Aby nie tracić minuty). Ta scena jest ostrą i zjadliwą satyrą na uszczęśliwiaczy ludzkości, dążących do odebrania jej najelementarniejszych praw ludzkich.

Chaplin w szpitalu. Chaplin na bezdrożach wolności. Chaplin naturalnie raz po raz w więzieniu. Chaplin łączący swój los parjasa z dziewczynką, równie jak on, dziką i bezbronną. Chaplin jako kelner, jako śpiewak kabaretowy — tu poraz pierwszy słyszymy jego głos. Ładny, przyjemny i fonogeniczny baryton, którym wyśpiewuje niebywałą piosenkę, wymyśloną na poczekaniu, w języku nieistniejącym, a tak wymowną, że dziecko ją zrozumie. Chaplin jako stróż nocny w wielkim magazynie. Chaplin jako wirtuoz na wrotkach—a robi to rzeczywiście doskonale. Ciągle inny — a ciągle ten sam. Nieporadnie uśmiechnięty, speszony, i spokojny jak niemowlę, nieświadome zasadzek życia, w które raz po raz wpada.

W każdym ruchu, w każdem spojrzeniu genjalny. Kto uprzedzał, że „Chaplin się skończył“ — pospieszył się z proroctwem. „Dzisiejsze czasy“ są filmem świetnym i, o dziwo, ani na chwilę nie każą widzowi żałować, że wypowiadają się bez słów. To, co jest filmu istotą — wymowa gestu i mimiki, jest tak wyraziste, że nie odczuwamy braku basowych głosów, wydobywających się z gardziołek eterycznych wampów, któremi to głosami film „mówiony“ zarzyna jak dotąd swoją publiczność.

Chaplin znalazł w tym filmie godną siebie partnerkę. Młodociana prostota Paulette Godard, jej wdzięk niepodrabiany, jej niezwykła uroda, o której zdaje się ani przez chwilę nie myśleć, jej śliczne nerwowe ręce, strzeliste dziewczęce nogi i olśniewające zęby — składają się na zjawisko pełne czaru. Nie można się dziwić zakamieniałemu włóczędze, że tym razem, odchodząc w dal, jak we wszystkich zakończeniach swoich filmów, odchodzi nie sam. Trzyma za rękę to miłe, młode stworzenie — i to nas pocieszy.

„Trudno żyć nieprzyzwyczajonemu“ — ale zawsze jakoś łatwiej we dwoje.

Z.

Sprzedaż biletów na kolej linową

Na podstawie porozumienia zawartego z Zarządem Kolei linowej Kuźnice-Kasprowy Wierch, Oddział Orbisu w Zakopanem rozpoczął komisową sprzedaż biletów na kolej linową. Poza Zakopanem bilety na kolej linową otrzymać można w placówkach Orbisu w Bielsku, Katowicach, Krakowie, Lwowie, Łodzi, Poznaniu i Warszawie. Przedsprzedaż obejmuje wszystkie rodzaje biletów: a więc normalne, ulgowe, abonamentowe i miesięczne.



P. Hanna Skarbek-Peretjatkowicz (której korespondencję z Indji „Świat“ niedawno drukował) ukończyła ciekawą książkę o Indjach bogato wydaną nakładem „Biblioteki Polskiej“.

Konkurs na pracę

O życiu i twórczości Wł. Reymonta

Celem uczczenia 10-tej rocznicy zgonu Wł. St. Reymonta, laureata nagrody Nobla, wyznaczyła Wdowa jako pierwszą nagrodę zł. 2.000.—, a Zakład Narodowy im. Ossolińskich jako drugą nagrodę zł. 1.000.—, za najlepsze prace o życiu i całokształcie twórczości Wł. St. Reymonta.

Prace dotychczas nieogłoszone, nie przekraczające 15 arkuszy druku formatu naukowego (63×95), składane być mają pod adresem: Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Lwowie na ręce Dyr. D-ra L. Bernackiego, *w terminie ostatecznym do 1-go maja 1936 r.*, pod godłem, z kopertą zaklejoną, która zawierać ma imię, nazwisko i dokładny adres autora pracy.

Przewodniczący sądu konkursowego: Prof. Ignacy Chrzanowski, członek Polskiej Akademji Umiejętności.

Ogłoszenie nagród musi nastąpić najpóźniej 1-go sierpnia 1936 r.

PÓŁ WIEKU ŻYCIA TEATRALNEGO

Pamiętniki Pawła Owerłły „Z tamtej strony rampy", wyd. księgarni Hoesicka, Warszawa).

Podaliśmy w poprzednim numerze „Świata" garść wspomnień z pamiętnika znanego artysty dramatycznego, Pawła Owerłły. Dziś zamieszczamy znów parę charakterystycznych fragmentów.

Owerłło pisze w swej książce nietylko o teatrach Rozmaitości i Nowości, ale i o Operze (Teatr Wielki). Okazuje się, że miała Warszawa w owym czasie Operę doskonałą — i że na wynagrodzenie artystów, zwłaszcza sławnych, nie żałowano. Zdumiewające są zwłaszcza niektóre zawrotnie szybkie karjery śpiewaków. Oto niektóre z nich:

„Regina Pinkiert, śpiewaczka koloraturowa, kontrakt zawarła z dyrekcją opery teatrów rządowych dnia 1/13 stycznia 1887 r. z płacą 900 rb. rocznie i 3 rb. za występ. W roku 1888 podwyższono jej gażę do 1300 rb. i 6 rb. za występ. W r. 1889 podała prośbę o urlop dla poratowania zdrowia i wyjechała do Krynicy, potem do Medjolanu. W roku 1892 zaczyna się korespondencja dyrekcji z Pinkiertówną o występy w naszej Operze. Pertraktacje dochodzą do pomyślnych rezultatów i Pinkiertówna podpisuje kontrakt z płacą *za występ po 1250 franków* i 500 franków na podróż. Śpiewała w roku 1903 i 1904 na tych samych warunkach".

Inna artystka Opery tak jest scharakteryzowana:

„Ponad wiele innych wybiła się i sławę światową zyskała Aleksandra Klamrzyńska. Za występ pobierała 250 rb. Występy jej ściągały tłumy publiczności do teatru, prasa prześcigała się w pochwałach. W r. 1897 dyrekcja znowu sprowadza ją do Warszawy, płacąc jej 3000 rb. miesięcznie i 100 franków na koszta przejazdu. Stromfeld-Klamrzyńska należała do najwybitniejszych śpiewaczek koloraturowych ówczesnej doby. Wszystkie sceny światowe starały się o występy tej świetnej polskiej śpiewaczki, bowiem rzeczywiście głos posiadała pierwszorzędny i nadzwyczajnie wyszkolony".

O znakomitym śpiewaku Myszudze pisze Owerłło:

„Aleksander Myszuga zaproponował dyrekcji teatrów warszawskich w r. 1884 swoje występy w operze *po 400 rb. za wieczór*. Dyrekcja zaakceptowała te warunki i pierwszy jego występ odbył się 16/28.IV w teatrze Wielkim w operze „Straszny Dwór" Moniuszki (rola Stefana). Rzadko który ze śpiewaków polskich cieszył się tak długo powodzeniem u warszawskiej publiczności, jak Myszuga. Głos posiadał o barwie pięknej, czysty, metaliczny, górne tony może śpiewał trochę białym głosem, lecz potrafił fascynować temperamentem i śpiewem przez długie lata. Wsławił się również podczas procesu artystki dramatycznej Marji Wisnowskiej, zamordowanej przez rosyjskiego oficera Bartienjewa. Gdy został wezwany na świadka w tej sprawie, na pytania sędziego odpowiadał po polsku. Sędzia wówczas powiada: „Dlaczego pan odpowiada po polsku, nie po rosyjsku?" Myszuga na to: „Po rosyjsku mówić nie umiem". Powiedzenie to na sedziach i rosyjskiej publiczności zrobiło nieoczekiwane wrażenie, zwłaszcza, iż wszyscy wiedzieli, że Myszuga rosyjskim językiem doskonale włada".

Bywały jednak komplikacje lingwistyczne o charakterze humorystycznym. O jednej z nich opowiada Owerłło co następuje:

„Seideman Władysław, śpiewak o wspaniałym głosie basowym, wystąpił 18.VIII 1882 w „Żydówce" (rola kardynała). Zaangażowany w roku 1883 na lat trzy, z płacą 4 tysiące rubli rocznie. Posiadał wspaniałe warunki zewnętrzne. Opery śpiewał po włosku. Po dwóch latach chciał zaśpiewać w operze „Mefistofeles" rolę tytułową po polsku. Kaleczył język strasznie, ale śpiewał po polsku, więc mu wybaczano. W drugim akcie w wielkiej arji są słowa: „Ten dobry Bóg, co tym małym światem rządzi tyle tu na tej ziemi błądzi", — Seideman dobrze słów nie pamiętał i zaśpiewał tak: „Ten dobry Bóg, co tym małym światem rządzi i tyle tu na tej ziemi psuje". Uśmiano się z tego rzetelnie".

O świetnej, światowej sławy śpiewaczce Józefinie Reszke, późniejszej baronowej Kronenberg, podaje Owerłło ładny epizod z jej występów warszawskich, gdy do prasy przesłała list następujący:

„Szanowny Panie redaktorze! Pragnąc wedle słabych sił moich złożyć dowód wdzięczności za serdeczne i uprzedzające przyjęcie, jakiego zaznałam u mieszkańców rodzinnego mojego miasta, postanowiłam po ukończeniu serji zapowiedzianych dotąd widowisk z moim udziałem wystąpić jeszcze 8 razy na scenie warszawskiej. Honorarjum rubli 500 od wieczoru, które zastrzegłam sobie za owych dalszych 8 występów, przeznaczam na cele dobroczynne, według wykazu tutaj załączonego. Niech to będzie podzięka doprawdy szczera i gorąca za te wszystkie objawy sympatji dla mnie, jakich doznałam w teatrze, w prasie i u publiczności.

Z wysokim szacunkiem

Józefina Reszke".

Takim gestem odznaczały się artystki w owych czasach...

Będąc człowiekiem teatru we wszystkich jego formach, obserwował Owerłło nietylko aktorów i śpiewaków, reżyserów i tancerzy. Widywał często za kulisami i — autorów. Niezmiernie ciekawe są jego wspomnienia o Żeromskim z czasu, gdy wystawiano „Przepióreczkę".

„W tem miejscu pragnę wspomnieć o szczególnem zachowaniu się Żeromskiego. Ponieważ prócz pracy na scenie, jako aktor i reżyser, byłem „gospodarzem sceny", wszystkie raporty, okólniki i dochody kasowe przysyłane były na moje ręce. Po raporcie kasowym szukałem zawsze autora, żeby mu powiedzieć, jaki jest dochód. Tu muszę powiedzieć, że Żeromski był tego bardzo ciekaw i stale się o dochody wypytywał. Pewnego wieczoru szukałem bezskutecznie Żeromskiego po całym teatrze, a ponieważ wiedziałem, że był, pytam więc maszynistów, czy nie widzieli gdzie autora. „Był tu przed chwilą", odpowiadają. Szukam więc dalej i spostrzegam go między dekoracjami schowanego i płaczącego. — Cofnąłem się, aby go nie krępować i czekałem, kiedy się sam pokaże. Po jakimś czasie wyszedł. Witam go i pokazuję dochód, smutnie się uśmiechnął i ściskając mi rękę, przyciszonym głosem powiedział: „dziękuję". Na następnem przedstawieniu, ponieważ co wieczór przychodził do teatru, znowu go szukałem i znalazłem również między dekoracjami, płaczącego. To powtarzało się często, a miało zawsze miejsce podczas drugiego aktu sztuki. Co go tak usposabiało w tej sztuce, nie mogłem dociec, a zapytać jakoś mi nie wypadało. Później, kiedy zaczął chorować i nie mógł przychodzić do teatru, porozumiewałem się z nim telefonicznie. Mieszkał na Zamku. Zawsze podawałem mu wiekszy dochód, niż w był w rzeczywistości, gdyż nie chciałem go martwić. Rzadko spotykałem wśród autorów polskich tak skromnego człowieka, jakim był Stefan Żeromski. Zawsze cichy, spokojny, uwagi czynił bardzo dyskretnie i to wyłącznie reżyserowi, rzadko zwracał się do aktorów. Najmilsze i najwspanialsze pozostawił mi po sobie wspomnienie ten wielki pisarz, a zarazem tak niezwykle skromny człowiek".

*

A oto znów rys charakterystyczny znakomitego aktora Szymanowskiego, który był przez przez szereg lat reżyserem teatru Rozmaitości:

„Na stanowisko reżysera powoływano przeważnie aktorów pierwszorzędnych. Godność reżysera ówczesnego była właściwie tem, czem jest dyrektura artystyczna teatru. Niektórym reżyserom nie uderzała do głowy taka dostojność, ale trafiali się i tacy, którzy natychmiast po objęciu stanowiska uczuwali się osobą ze wszech miar ważną, niedostępną, o zerwanych węzłach koleżeństwa z zespołem aktorskim. Do reżysera w każdym razie mówiło się zwyczajowo: „panie dyrektorze" — i obie strony przyjmowały ten tytuł jako rzecz należną. O różnicy pozycyj między reżyserem a aktorem najlepiej mówi pewne bon mot Władysława Szymanowskiego: Po kilkoletniem sprawowaniu reżyserji, dostał on pewnego dnia dymisję z zajmowanego stanowiska. Ale że miał zaczęte przygotowanie nowej sztuki, więc on jeszcze, nie jego następca, prowadził z niej próby. Nazajutrz po ogłoszeniu dymisji zjawia się na scenę. Aktor K., mający do niego jakiś interes, zaczyna prośbę od słów: „panie dyrektorze, chciałbym..." — „Duszo droga. — odpowiada mu Szymanowski: — nie nazywaj mnie już dyrektorem, bo dziś jestem takim samym zwyczajnym durniem, jak i ty".

*

Takich lapidarnie ujętych „powiedzonek", takich na gorąco notowanych wrażeń i spostrzeżeń pełne są ciekawe pamiętniki Pawła Owerłły — to też każdy prawdziwy miłośnik teatru przeczyta z najżywszem zainteresowaniem tę miłą książkę, zatytułowaną „Z tamtej strony rampy". (Wyd. Hoesicka).

Z ŻYCIA ARTYSTYCZNEGO STOLICY



„TE 4“

POLSKIE REWELLERSY KOBIECE POD KIEROWNICTWEM WANDY VORBOND, WYSTĘPOWAŁY OSTATNIO Z POWODZENIEM W WARSZAWIE.

HALINA HULANICKA



ZNAKOMITA TANCERKA HALINA HULANICKA, WYSTĄPIŁA NA RECITALU W „CYRULIKU“, ZDOBYWAJĄC POKLASK LICZNIE ZEBRANEJ PUBLICZNOŚCI I BARDZO POCHLEBNE SPRAWOZDANIA PRASY.

ZYGMUNT SINGER



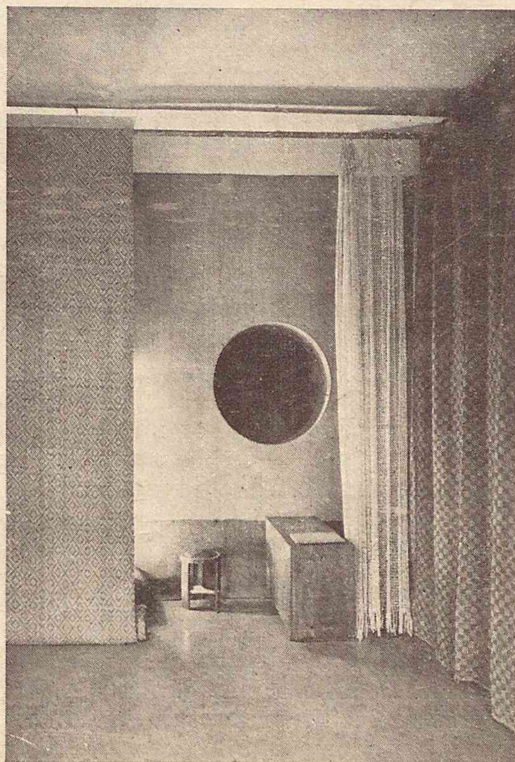
ZNANY KOMPOZYTOR WYSTĄPIŁ Z POWODZENIEM NA KONCERCIE W KONSERWATORJUM.

„INICJATYWA“



SPÓŁDZIELNIA MŁODYCH ABSOLWENTEK SZKÓŁ RĘKODZIELNICZYCH (NOWY ŚWIAT 1 M. 12) WYSTĄPIŁA Z CIEKAWĄ REWJĄ SWYCH MODELI, W KTÓRYCH STOSUJE SIĘ BARDZO POMYSŁOWO TKANINY LUDOWE LNIANE. MODEL POWYŻSZY PROJEKTOWAŁA M. ŁOMNICKA - BUJAKOWA.

LEN WILEŃSKI



OTWARTY NIEDAWNO SKLEP SAMODZIAŁÓW LNIANYCH, W ALEJACH JEROZOLIMSKICH 29, ZWRACA POWSZECHNĄ UWAGĘ ESTETYCZNEM URZĄDZENIEM WNĘTRZA I PIĘKNYM DOBOREM TKANIN LUDOWYCH.

KRONIKA MUZYCZNA



LEA LUBOSHUTZ — KONCERTOWAŁA Z POWODZENIEM W FILHARMONJI WARSZ. I W SALI KONSERWATORJUM.

Berlioz przewidział skandal

Wygwizdanie w Paryżu opery Wagnera „Tannhäuser" w dniu jej premjery, o czym pisaliśmy w zeszłym numerze, budzi w prasie francuskiej liczne reminiscencje. Przypominając różne krytyki i głosy prasy z owej epoki, przypomniano również opinje wybitnego muzyka Berlioza oraz znakomitego poety Baudelaire'a. Przytaczamy tę ciekawą opinję:

Dwa miesiące przed pierwszem przedstawieniem Tannhäusera w Paryżu, Hektor Berlioz pisał do swego syna:

„W operze aż do przesady studjuje się Tannhäusera, dzieło Wagnera. Wagner otumanił śpiewaczki, śpiewaków, orkiestrę i chóry operowe. Nigdy nie będzie końca tej muzyce. Pierwsza próba generalna była, jak mówią, okropna i skończyła się dopiero o 1-ej po północy. Mimo to postanowiono dopiąć celu. List przybędzie, aby poprzeć tę szkołę rzempolenia. Ja nie napiszę recenzji z Tannhäusera. (Berlioz, jak wiadomo, był krytykiem muzycznym w „Débats"). Prosiłem Ortigue, aby mnie zastąpił. W naszym świecie muzycznym jest wielkie poruszenie wywołane wystawianiem Tannhäusera, wokół widzę tylko rowścieczonych ludzi. Któregoś dnia minister wyleciał z próby trzęsąc się ze złości. Cesarz też nie jest zadowolony, a jednak pomimo wszystko, można znaleźć szczerych entuzjastów, nawet wśród francuzów. Najwyraźniej Wagner jest warjatem. Umrze jak Jullien, który umarł zeszłego roku na udar mózgu.

Oto co pisał Baudelaire

Revue Europeenne, 1 kwietnia 1861:

„Chciałbym tylko zauważyć ku wielkiej pochwale Wagnera, że mimo dużej wagi, jaką on przykłada do poematu dramatycznego, uwertura Tannhäusera jak i Lohengrina jest doskonale zrozumiała nawet dla tego, kto nie zna libretta. Co więcej, uwertura ta nietylko konsekwentnie rozwija ideę przewodnią, dwoistość psychiczną, tworząca dramat, ale wyraźnie akcentowane zasadnicze motywy, przeznaczone do odmalowania nastroju, są wyrażone w niej zapomocą melodyj to zmysłowo namiętnych, to prawie religijnych, jak „Pieśń Pielgrzymów" — w zależności od wymagań akcji.

Co do wielkiego marsza z drugiego aktu, to Wagner tak opanował umysły nawet najbardziej wrogie, że należy mu się niemniejsza pochwała, niż za uwertury, o których mówiłem — pochwała za umiejętne oddanie w przejrzystej, barwnej i plastycznej formie tego, co chce wyrazić.

Któż więc, słuchając tych silnych, dumnych akcentów, tego pompatycznego rytmu, zuchwale stopniowanego, tych królewskich fanfar, mógłby sobie wyobrazić coś innego, niż feodalny przepych, defiladę bohaterskich postaci w oszałamiających strojach, o wyniosłej postawie, wielkiej sile woli i naiwnej wierze, równie wspaniałomyślnych w radości, jak okrutnych w walkach.

Ostatecznie tak sukces, jak i niepowodzenie Tannhäusera niczego nie dowodzą i zgóry nie można przesądzić, jak się te sprawy w przyszłości ułożą, pomyślnie czy też niepomyślnie dla Wagnera. Uważając Tannhäusera za dzieło ohydne, możnaby je wynieść pod niebiosy, ale musi ono oburzać, jeśli zechcemy je uważać za dzieło doskonałe. Kwestja reformy opery nie jest wyczerpana; walka będzie się dalej toczyła, a uśmierzona — wybuchnie na nowo.

Słyszałem niedawno, jak mówiono, że, jeżeli Wagner swym dramatem osiągnie głośny sukces, będzie to przypadek czysto indywidualny, ale metoda jego nie wywrze żadnego wpływu na dalszy rozwój lirycznego dramatu.

Studjując nieustannie przeszłość, czuję się niejako uprawnionym do przepowiedzenia innego obrotu rzeczy; twierdzę stanowczo, że nawet kompletne niepowodzenie w żaden sposób nie niweczy możliwości nowych usiłowań osiągnięcia sukcesów w tej dziedzinie, a w bliskiej przyszłości ujrzymy nietylko nowych autorów, ale i ludzi „starej daty", korzystających z pomysłów Wagnera i przechodzących szczęśliwie przez wyłom zrobiony przez niego w historji muzyki. Nie zdarzyło się bowiem, aby wielkie sprawy upadały po jednej potyczce. *H.*

M. ZOSZCZENKO

A K T O R

Poniższe zdarzenie miało miejsce w Astrachaniu. Opowiadał mi o tem pewien znajomy aktor. Rozpoczął tak:

„Zapytujecie mnie, obywatele, czy byłem kiedy aktorem? Oczywiście, że byłem. W teatrach grywałem. Od maleńkości pociągała mię sztuka, wielka sztuka. Wydaje się, że to drobiazg bez znaczenia, że niema w tem nic nadzwyczajnego, ale jeśli pomyśleć głębiej, okaże się, że w najbłachszej rzeczy tkwi ukryty sens.

Powiedzmy, wychodzi się na scenę, a publika gały wytrzeszcza i patrzy. Pomiędzy publiką — znajomi, kuzyni ze strony żony, krewni i przyjaciele. Spojrzysz — mrugają z parteru: — Dalej, Wasia, nie bój się, dmuchaj dogóry! A ty, znaczy się, dajesz im znaki: — Lękać się? Dajcie spokój, obywatele, niema obawy!

Jeśli pomyśleć jednak głębiej, to w całej tej aktorskiej profesji niema nic dobrego. Krwi więcej napsujesz.

Ot, raz dawaliśmy sztukę „Kto winien".

Bardzo silna to była sztuka. W jednym, znaczy się, akcie złodzieje okradają kupca na oczach publiki.

Bardzo naturalnie to wychodzi. Kupiec, znaczy się, krzyczy, nogami odbija się, a oni go tymczasem okradają. Wesoła rzecz.

Postanowiono wystawić tę komedję.

Przed samem jednak przedstawieniem jeden amator, który miał odgrywać kupca — upił się. Do tego stopnia się urżnął, że go, zbrodniarza, zupełnie rozebrało. Wyraźnie widać, że roli grać nie może. Jak tylko podejdzie do rampy, zaraz elektryczne lampki nogą gasi.

Reżyser Iwan Pawłowicz powiada do mnie: — Nie będziemy mogli, mówi, w drugim akcie wypuścić go na scenę. Podepcze, sukin syn, wszystkie lampki. Może, mówi, ty na jego miejsce zagrasz? Publika — dureń i tak nic nie zauważy.

— Ja, obywatelu, nie mogę, mówię, do rampy wyjść. Nie proście! Ja, mówię, w tej chwili dwa arbuzy zjadłem i nie mogę.

A on na to:

— Wyręcz, bracie! Chociaż na jeden akt. Może potem ten artysta wytrzeźwieje. Nie zrywaj, mówi, artystycznej roboty.

Jakoś uprosili. Wyszedłem więc do rampy, tak jak było w sztuce, we własnej marynarce i spodniach. Tylko że bródkę cudzą przykleiłem. I wyszedłem.

A publika, chociaż dureń, zaraz mnie poznała.

— A, mówią, Wasia wyszedł! Nie lękaj się nic, odważnie dmij do góry!

— Lękać, to się, obywatele nie lękam. Artysta, powiadam, który tu miał odgrywać, jest ciężko zawiany. Przyszedł na niego krytyczny moment i do rampy, bałwan, wyjść nie może.

Zaczęło się przedstawienie.

Gram ja rolę kupca, krzyczę, znaczy się, nogami się od złodziejów odbijam, aż tu nagle czuję, jakby mi ktoś z amatorów rzeczywiście lazł do kieszeni. Zapiąłem silnie marynarkę, opędzam się od nich, biję prosto po mordzie. Jak Boga kocham! — Nie podchodźcie, mówię, świnie jedne, rzetelnie proszę.

A ci, tak jak było w roli, nastają na mnie i nastają.

Wyjęli mi portfel (18 czerwońców) i do zegarka się prą.

Ja znów krzyczę nieswoim głosem: — Policja, patrzcie obywatele, naprawdę grabią!

Od tego krzyku na widowni wzrasta napięcie i podnosi się efekt sceny.

Publika-dureń w zachwycie bije w dłonie i krzyczy:

— Broń się, Wasia, broń! Odbijaj się, miły! Nakryj ich djabłów po głowach!

A ja krzyczę:

— Nie pomaga, bracia! i ściągam ich po mordach.

Patrzę, — jeden amator krwią się zalał, a drudzy, podlece, jeszcze więcej mnie grabią.

— Bracia, krzyczę, co to jest? Za co takiego mam cierpieć!

A reżyser z za kulis wysuwa się i szepce: — Zuch, mówi, jesteś Wasia; cudnie rolę wykonujesz. Dalej, naprzód!

Widzę, że krzyki nic nie pomagają, bo co nie krzykniesz, wszystko wychodzi podług roli.

Padam więc na kolana:

— Bracia, mówię, reżyserze Iwanie Pawłowiczu! Nie mogę więcej! Spuśćcie kurtynę. Oni naprawdę kradną moje ostatnie oszczędności!

Wszyscy widzą, że słowa nie są podług roli, więc z za kulis wychodzą, sufler, dzięki Bogu, z budki na wierzch wyłazi.

— Zdaje się, mówi, obywatele, że kupcowi rzeczywiście portfel świsnęli.

Spuścili kurtynę, przynieśli mi wody w dzbanku i napoili.

— Bracia, mówię, reżyserze, mówię, Iwanie Pawłowiczu! Co to jest? Tak jak jest w roli, ktoś mi tu naprawdę mój portfel gwizdnął.

No i zrobili rewizję u amatorów. Tylko, że pieniędzy nie znaleźli. Pusty portfel ktoś rzucił za kulisy. A pieniądze ukradli. Jak kamień w wodę.

I wy mówicie — sztuka!?

Wiemy! Graliśmy!

tłum. Włodzimierz Łukasik.

DROBNE OGŁOSZENIA
PRIMA APRILISOWE

Zamiast iść spać do niewygodnego łóżka, lub drzemać w kinie, przyjdźcie to zrobić w naszych doskonałych, dwusprężynowych fotelach z miękkiem oparciem, w jednym z pięciu subwencjonowanych teatrów T. K. K. T.

Abonament ulgowy na cały sezon:
fotel z przedstawieniem 35 z.
fotel bez przedstawienia 80 z.

P. W. P. Pionki. Znakomity proch i naboje dynamitowe dla samobójców. Specjalna bawełna strzelnicza na skarpetki i pulowery męskie.

Zarząd szpitali i lecznic miejskich ogłasza niniejszym wielką zniżkę cen na hurtowe operacje. Dla rodzin złożonych z 5-ciu osób 30% rabatu. Wycieczki ponad 20 osób i młodzież szkolna płacą połowę. Zniżki indywidualne dla osób obciążonych dziedzicznie.
Uwaga! Skomplikowane złamanie obu nóg liczy się za jedną.
Dla stałych klijentów przepłókiwanie żołądka gratis.

W związku z nowym sezonem budowlanym jest do sprzedania większa ilość kamieni, rzucanych pod nogi obecnemu rządowi. Również kilkadziesiąt belek z własnych oczu. Oferty pod M. Z. K.

Zarząd Miejski m. st. Warszawy wydzierżawi 4 szalety w śródmieściu na dancingi, lub restauracje. Stały dochód z szaletów zapewniony.

Uwaga tonący! Chwytajcie się tylko naszych patentowanych brzytew ze srebrnem ostrzem firmy Kron & Co.

Kurs pielęgnowania róż w ogrodach

Koło Miłośników Ogrodnictwa urządza w czasie od dnia 1—7 kwietnia r. b. Kurs Pielęgnowania Róż w ogrodach, który obejmuje: klasyfikację, rozmnażanie, uszlachetnianie, zastosowanie róż w ogrodach, sadzenie, cięcie, zasilanie, zimowanie oraz choroby i szkodniki róż. Prelegentami będą: p. Inż. F. Nalepińska, p. St. Schönfeld i p. Dr. Gorjaczkowski.

Wykłady będą się odbywały w Tow. Ogrodn. Warszawskiem — Bagatela 3 (I piętro) od godz. 6—8 wiecz. Praktyczne ćwiczenia cięcia róż na gruncie.

Zapisy i informacje: Biuro K. M. O. Al. Jerozolimskie 20 m. 16. tel. 632-70. Kierowniczka Kursu p. Wysocka — tel. 840-18, Skład Nasion B-ci Chomicz — Zgoda 8 oraz w dniu rozpoczęcia wykładów na miejscu — Bagatela 3.

Ilość miejsc ograniczona.



Gruźlica płuc jest nieubłagalna i corocznie, nie robiąc różnicy dla płci, wieku i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar.

Przy zwalczaniu chorób płucnych bronchitu, grypy, uporczywego, męczącego kaszlu i t. p., stosują pp. Lekarze „BALSAM TRIKOLAN AGE" (dawniejsza nazwa „Balsam Thiocolan Age"), który, ułatwiając wydzielanie się plwociny, usuwa kaszel, wzmacnia organizm i samopoczucie chorego. Sprzedają apteki.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.